

KONKRETY

nr 8

**TRUDNA
JEDNOŚĆ**

3

**PARTYJNI
W ZWIĄZKACH**

4

**CO POLAK
POTRAFI?**

9

**NIE ZOSTAŁAM
MATKĄ**

14



■ ZESPÓŁ ARTYSTYCZNY PÓŁNOCNEJ GRUPY WOJSK ARMII RADZIECKIEJ PREZENTUJEMY NA STR. 10—11.
Fot. Igor Potiomkin

● **OCENIE DZIAŁALNOŚCI ŚRODKÓW MASOWEGO PRZEKAZU** w realizacji celów i zadań polityki partii po VI Plenum KC PZPR poświęcone było 13 bm. posiedzenie Egzekutywy KW PZPR w Legnicy. Zanalizowano publikacje prasowe, radiowe i telewizyjne, które ukazały się w prasie legnickiej oraz dolnośląskich i centralnych programach RTV, a dotyczyły problemów zagłębia miedziowego. W ocenie znalazły się także artykuły prasy zakładowej i audycje radiowęzłów zakładowych. Egzekutywa stwierdziła, że po VI Plenum KC połączono formy dziennikarskiej wypowiedzi. Znalazło to swój wyraz w szerszym niż przedtem analizowaniu sytuacji społeczno-politycznej i gospodarczej. Podkreślono, że wiele konkretnych inicjatyw publicystycznych przedstawiały w tym względzie oba dzienniki, tj. „Gazeta Robotnicza” i „Słowo Polskie”, a także tygodnik „Konkrety”. Czasopisma te zmieniły język wypowiedzi, podjęły trudne problemy województwa i kraju.

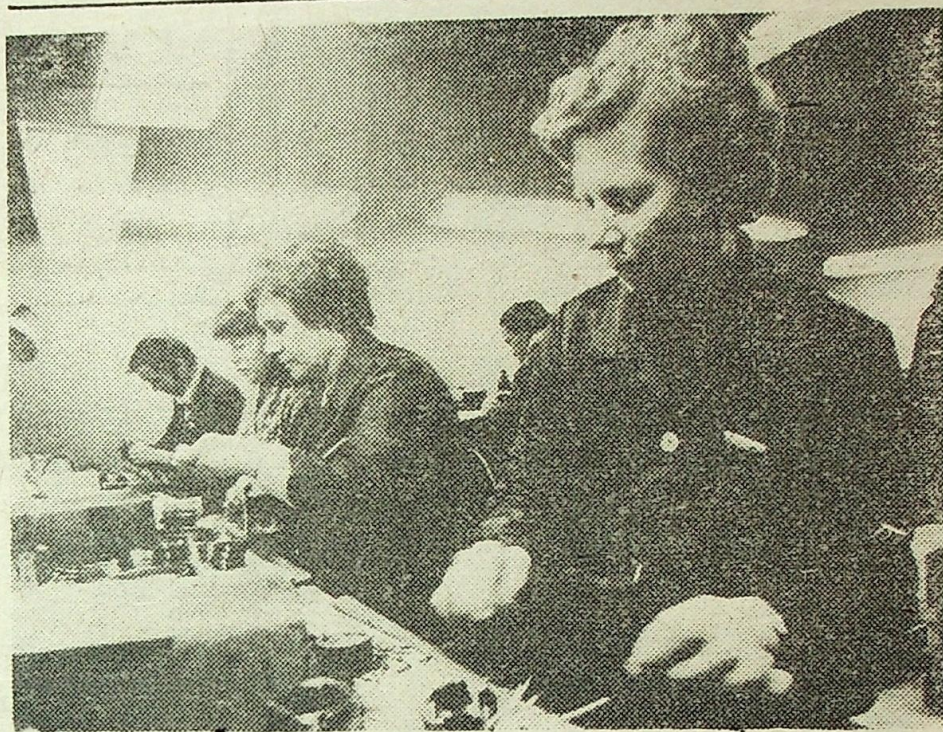
● **REALIZACJA WNIOSKÓW I POSTULATÓW ZAŁÓG KGHM i Przedsiębiorstw Budownictwa Przemysłowego Kopalń i Hut** zgłoszonych od sierpnia ub.r. była 17 bm. tematem posiedzenia Egzekutywy KW PZPR, w którym udział wzięli także sekretarze komitetów zakładowych partii w kombinacie oraz dyrektorzy przedsiębiorstw i przedstawiciele branżowych związków zawodowych. Uczestnicy obrad stwierdzili, że realizacja wniosków i postulatów przebiega bardzo wolno. Przyczyną tego stanu rzeczy jest m.in. brak odpowiednich środków inwestycyjnych, zwłaszcza w zakresie ochrony środowiska, budownictwa mieszkaniowego i towarzyszącego. Egzekutywa KW powołała 7-osobowy zespół, który zgłoszone wnioski i uwagi przedstawi władzom centralnym. Egzekutywa zatwierdziła także tymczasowy regulamin działalności rady sekretarzy KZ PZPR powstałej przy KGHM. W ostatnim punkcie obrad oceniono sytuację społeczno-gospodarczą Legnickiego w styczniu oraz plany zaopatrzenia rynku w lutym.

● **18 BM. BYŁ W WOJEWÓDZTWIE LEGNICKIM DNIEM PRZYJAŹNI POLSKO-RADZIECKIEJ.** Uczczono w ten sposób zbliżającą się 63 rocznicę powstania Armii Radzieckiej. Inauguracyjne spotkanie odbyło się w Urzędzie Wojewódzkim. Prowadziła je przewodnicząca ZW TPPR, sekretarz KW PZPR tow. Maria Kustasz, a uczestniczyli w nim między innymi żołnierze i oficerowie z szefem zarządu politycznego PG WAR gen. lejtn. Nikołajem Łuszczenką na czele, aktyw TPPR z województwa oraz I sekretarz KW PZPR w Legnicy, tow. Ryszard Romaniewicz i przewodniczący WK FJN Jan Dębicki.

● **WSPÓLNE Z PZPR FORMY POMOCY** kształtującemu się nowemu samorządowi wiejskiemu omawiano 16 bm. na naradzie wojewódzkiego aktywu Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego w Legnicy. W obradach wziął udział członek Głównej Komisji Rewizyjnej NK ZSL I. Szymczyśzyn. Referat wprowadzający do dyskusji wygłosił sekretarz WK ZSL M. Matkowski.

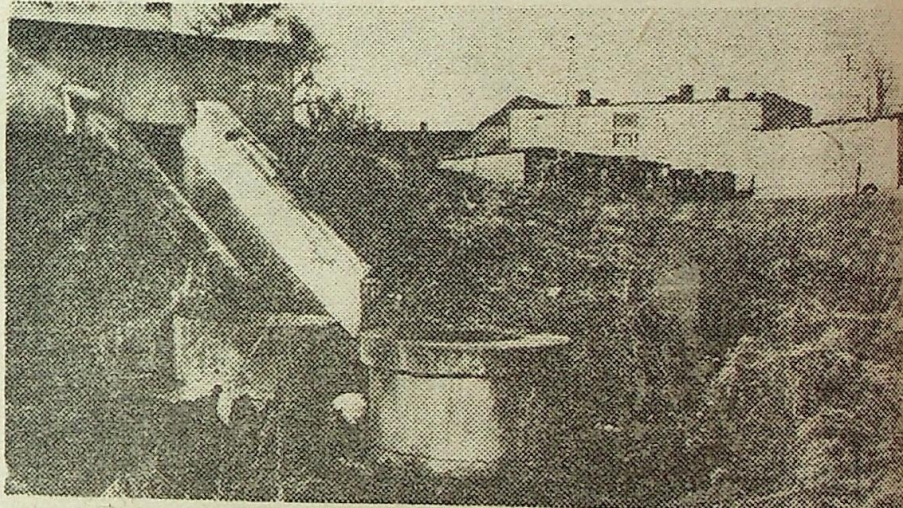
● **KONKURS „KWIATY NA BETONIE”** — na najpiękniej ukwiecony balkon — rozstrzygnęła 11 bm. Legnicka Spółdzielnia Mieszkaniowa. Pierwszą nagrodę zdobył K. Gościński z ulicy Wielkiej Niedźwiedzicy, drugą — P. Bajor, trzecią — M. Szumiecka.

W piątek, 13 bm. podsumowano współzawodnictwo ORMO-wców działających na rzecz bezpieczeństwa ruchu drogowego. Pierwsze miejsce i puchar przechodni zdobyli członkowie ORMO ze Złotoryi. Najlepszym społecznym inspektorem ruchu drogowego wręczono także dyplomy uznania. Na zdjęciu: Dyplom otrzymuje Jerzy Ryczanek.



Spółdzielnia Pracy Inwalidów „Legspin” w Legnicy plan produkcji minionej pięcioletki określony na 580 mln zł wykonała w wysokości 654 mln zł. W „Legspinie” poprawiono ostatnio wyposażenie techniczne stanowisk pracy, polepszo także warunki rehabilitacji załogi. Na zdjęciu: Przy lutowaniu końcówek cewki Maria Szeleńnicka.

Osiedle mieszkaniowe Zakładu Rolnego WOPR w Osetnicy ma wszelkie atuty, aby zająć czołową pozycję na liście największych trucicieli rzek naszego województwa. Wypływające z pseudooczyszczalni ścieki trafiają do Skory, płynącej kiedyś z czystej wody i szczupaków.



W Wojewódzkim Ośrodku Postępu Rolniczego w Piotrowicach koło Chojnowa wiele się robi, aby goście w pełni zauważyli postęp legnickiego rolnictwa. Wyremontowano biura. Postawiono jednorodzinne domki. Urządzono parking o powierzchni spotykanej jedynie w dużych miastach. Dyrekcja nie może się jednak zdobyć na remont dachu domu, w którym mieszka była pracownica WOPR-u ze swoją rodziną. Mieszkanie ulega ciągłej dewastacji. Wilgoć zniszczyła już stolarkę. Wydrukowany przez nas list (pod koniec ub. roku) nie odniósł żadnego skutku. Dach wleżał przecieka...

Na zdjęciu: Dom, w którym przecieka dach i nowe, gościnne domki.

Przed dwoma laty rozebrano na ulicy Reymonta 7 oficynę. Pozostawiono jednak kawał rozsypanych się ścian. Dzieci bawiące się na podwórku wybierają cegły, co może spowodować zawalenie całego muru. Potrzebna jest szybka interwencja odpowiednich służb komunalnych zanim dojdzie do tragedii.



Zdjęcia: WALDEMAR SIKORSKI

ODZNAKI GUS-u DLA KORESPONDENTÓW

Skomplikowane procesy produkcyjne i społeczne na wsi są przedmiotem spisów rolnych — a także społecznej pracy korespondentów rolnych, rolników dostarczających informacji o stanie swojego gospodarstwa, o strukturze zasiewów, cenach wolnorynkowych, płacach robotników najemnych itd. Korespondenci rolni przyczyniają się w dużym stopniu do stworzenia prawidłowego statystycznego i analitycznego obrazu zjawisk zachodzących na wsi. Ich praca jest źródłem wielu informacji, których uzyskanie drogą administracyjną byłoby niemożliwe.

Na spotkaniu w Wojewódzkim Urzędzie Statystycznym w Legnicy korespondenci rolni wypowiedzieli się w czasie dyskusji na temat aktualnych problemów wsi. Zwrócili uwagę na to, że strajki w zakładach przemysłowych, m.in. produkujących dla rolnictwa, jeszcze bardziej komplikują sytuację polskich chłopów. Np. jed-

nodniowy strajk w „Ursusie” pozbawił wieś 600 traktorów. Ilość ta pokryłaby trzecią część obecnego zapotrzebowania na traktory w woj. legnickim. Nie gwarantują rozwoju aktualne ceny płodów rolnych. Brak ostatecznych decyzji centralnych w sprawach kluczowych dla rolnictwa powoduje zniechęcenie i bierność wielu rolników.

W czasie spotkań wyróżniających się korespondentów rolnych udekorowano honorowymi odznakami Głównego Urzędu Statystycznego. Złote odznaki otrzymali: Janusz Warchol z Polkowic, Jan Kowalczyk z Parchowa, Zygmunt Zarzecki z Jerzmanowej, Maria Cidyło z Ujazdu Górnego oraz Jan Włodarczyk z Uniejowic. Srebrne: Daniel Halka z Jawora, Mieczysław Mikulski z Kunie, Bogdan Hawrylak z Legnickiego Pola, Antoni Kalus z Prochowic, Agnieszka Zaleska z Ujazdu Górnego, Jan Wiertel z Czernej i Stanisław Zabaniak z Kromoliny. Brązowe: Irena Smyk z Parchowa, Józef Gabryś z Gaworzyc, Stanisław Markowski z Męcinki, Kazimierz Placety z Maluszowa, Jan Leszczowski z Wietrzyc, Jan Palmak z Obory i Michał Szkarupski z Chelma. (ch)

ZIELONY TELEFON

JEST TAKA SZKOŁA

„Interesuję się muzyką, gram na akordeonie. Chciałbym się dostać do szkoły muzycznej w wojsku. Słyszałem, że jest taka w Toruniu. Jak się tam dostać?” — pytał podczas ostatniego dyżuru jeden z czytelników.

Odpowiadamy: jest taka szkoła — Wojskowa Szkoła Muzyczna II stopnia, nie w Toruniu, lecz w Gdańsku. Kształcą się w niej kandydaci do służby w orkiestrach zawodowych.

Jest to szkoła nie tylko muzyczna, ale i wojskowa. Na egzaminie wstępnym bada się więc słuch muzyczny i poczucie rytmu, ale również sprawność fizyczną kandydata na elewa.

Obowiązuje w niej taki sam program, jak w innych średnich szkołach muzycznych. Jedyna różnica w programie nauczania wzbogaconym tu o przedmioty dające przygotowanie do pracy w warunkach wojska. Zajęcia w szkole trwają cztery lata, co nie

oznacza końca edukacji. Mając bowiem skończone liceum ogólnokształcące, można się starać o przyjęcie do Wyższej Szkoły Muzycznej. Kto nie chce, albo mu się nie udało, może trafić do orkiestr wojskowych. Najbardziej uzdolnieni uzupełniają składy Orkiestry Reprezentacyjnej WP lub reprezentacyjnych orkiestr Pomorskiego i Śląskiego Okręgu Wojskowego oraz Marynarki Wojennej, Wojsk Lotniczych i innych.

Szkoła posiada własną orkiestrę i chór, które występują z koncertami w różnych częściach kraju. Elewi mogą również uprawiać muzykę rozrywkową.

Bardziej szczegółowych informacji o szkoleniowie wojskowym można zasięgnąć dziś w godz. 12—15 pod nr tel. 250-76 i 250-77 w. 36 w Legnicy oraz 334-71 w. 648 w Głogowie. Od godz. 15 do 16,30 będzie czynny również nasz redakcyjny tel. 216-42. Na pytania będzie odpowiadał mjr Henryk Kowalik. Zapraszamy.

NAFCIARZE W „CHALKOZYNIU”

W „Chalkozynie” wypoczywało w ub. roku ponad 3100 wczasowiczów (latem) i 2 tysiące kuracjuszy sanatorium (zimą). Jak wiadomo, kołobrzeski klimat sprzyja leczeniu chorób górnych dróg oddechowych, krążenia i cukrzycy. Obecnie trwa rozbudowa „Chalkozynu”. Brygady KGHM-u wnoszą tu kawiarnię ze 150 miejscami oraz zaplecze socjalne dla załogi. Do maja br. zostanie przebudowana zmywalnia, chłodnia i magazyn. Odnowi się posadzki i parkiety. Drugi etap modernizacji przewidyje m.in. budowę zakładu przyrodoleczniczego.

Goście dni przeżywał „Chalkozyn”, dom wczasowy ZG „Rudna” w Kołobrzegu.

W grudniu zamieszkali tu ratownicy biorący udział w gaszeniu pożaru szybu „Daszewo-1” koło Karłina. Ponad 300 osób korzystało z tu-tejszej kuchni.

„Chalkozyn” gościł nafcjarzy przez miesiąc. — To byli autentycznie zmęczeni ludzie. Pracowali dwanaście na dwanaście godzin. Ciągłe następowała rotacja — w ciągu dwóch dni wymieniono się 150 ratowników. Nasz personel miał więc sporo pracy. Od 1 stycznia miał się rozpocząć remont, więc magazyny żywnościowe były puste. Jednak władza kołobrzeska i woj. koszalińskiego pomogły odpowiednio zaopatrzyć ratowników w potrzebną ilość żywności — mówi kierownik domu, Jan Byleżyński.

„Chalkozyn” spisał się w akcji ratowniczej wzorowo, co potwierdza specjalne podziękowanie podpisane przez szefa operacji gaszenia karlińskiej nafty, inż. Adama Kilara. (ch)

Niewiele jest dziś spraw, w stosunku do których moglibyśmy mówić o narodowej jedności — poza, naturalnie, powszechnym przekonaniem o bezwzględnej konieczności przebudowy naszego życia społeczno-gospodarczego i nadziejami wiązanych w tej mierze z rządem premiera Jaruzelskiego. Po paru miesiącach burzliwych wydarzeń i mnogości konfliktów w blaskach nierzadko sprawach, trudno czasami oprzeć się wrażeniu, że niezgadanie się z „resztą świata” i trwanie w opozycji, staje się dla wielu problemem prestiżowym.

Faktem jest, że przez lata forsowania hasła o moralno-politycznej jedności narodu, oduczyliśmy się dyskutować, konfrontować poglądy, opinie, postawy, rozważać rozwiązania alternatywne. Bywaliśmy jednomyślni, co najczęściej oznaczało — bezmyślni (lub asekurancy). Oduczyliśmy się również elementarnej tolerancji wobec tych, którzy myślą inaczej.

Tym trudniej jest teraz, gdy zdajemy sobie w pełni sprawę z potrzeby zmian — w myśleniu i w działaniu. Zachłystujemy się demokracją — chwilami trochę

TRUDNA JEDNOŚĆ

jak dzieci nową zabawką — czerpiemy z niej pełną garścią to, co daje, nie zawsze troszcząc się o to, czego żąda. A żąda wiele, głównie zaś twórczego, elastycznego myślenia o sprawach nie-swoich, lecz ogółu, umiejętności podejmowania wspólnie decyzji i solidarnego tych decyzji respektowania.

Dla ponad 2-milionowej rzeszy członków partii sprawa demokracji, zwłaszcza tej wewnątrzpartyjnej, jest problemem bolesnym, trudnym i jednym z najpilniejszych do rozwiązania. Nie da się tego zadekretować, rozstrzygnąć przy pomocy jednej uchwały, czy wytycznych. To żmudny proces, który przebiegać musi bezpośrednio w partyjnym działaniu, w samym centrum głównego nurtu życia politycznego. Wydaje się, że w Legnicy stawiamy wreszcie pierwsze kroki...

Ostatnie (13 bm.), plenarne posiedzenie Komitetu Wojewódzkiego PZPR, skłania do optymistycznych, choć jeszcze nie entuzjastycznych refleksji. Poświęcono je nakreśleniu zadań dla członków, organizacji i instancji partyjnych w okresie poprzedzającym IX Nadzwyczajny Zjazd. Wprowadzający do dyskusji referat Egzekutywy był zbiorem pytań i problemów przedstawionych pod rozprawę członkom KW. Był trudny — nie zawierał gotowych formułek, jednoznacznych stwierdzeń, programów podanych do biernej akceptacji. Wymagał, ba! żądał dyskusji, sporów, kontrowersji, ustalenia w zwyczajnym, roboczym trybie, na gorąco katalogu spraw i zadań na teraz i na przyszłość.

Dyskusja wokół zasygnalizowanych problemów udowodniła, że taka formuła obrad najwyższego wojewódzkiego forum partii jest słuszną, choć jeszcze nie w pełni wykorzystywaną. Niedostatki naszej tolerancji nie pozwoliły więc jeszcze na podejmowanie, bez wewnętrznych oporów, dyskusji z najbardziej kontrowersyjnymi opiniami. Wszystkie jednak głosy przepełnione były autentyczną, wielką troską o miejsce partii w społeczeństwie, o odzyskanie moralnego i politycznego autorytetu, odbudowanie i umocnienie prawdziwych, rzeczowych więzi z klasą robotniczą, oczyszczenie partyjnych szeregów z tych co zhańbili godność komunisty prywatą, nieodpowiedzialnością, społecznym szkodnictwem. Ta wspólna troska, poczucie wielkiej odpowiedzialności za losy kraju, przekonanie o konieczności gruntownych przemian we wszystkich niemal dziedzinach naszego życia społecznego, gospodarczego, politycznego, pozwoliła — mimo różnic poglądów w szczegółach — na sformułowanie jednego dla wszystkich programu działania na najbliższe miesiące.

Uchwała plenarnego posiedzenia KW PZPR, którego obrady toczyły się przecież w szczególnej atmosferze społecznej, tuż po VIII Plenum Komitetu Centralnego i brzemiennej w decyzje sesji Sejmu, zobowiązuje bezwzględnie wszystkich członków partii do czynnego politycznego udziału w procesie przywracania pełnej demokracji socjalistycznej, nakłada na każdego komunistę odpowiedzialność za socjalistyczny charakter zreformowanego ruchu związkowego. Umieszczono także w uchwale zapowiedź i zobowiązanie rygorystycznego egzekwowania statutowych obowiązków członków partii, podnoszenie wobec nich wymagań, a także konsekwentne — szybkie i surowe — wyciąganie konsekwencji wobec tych, którzy partię kompromitują.

Podczas plenum przytoczono w dyskusji z pozoru retoryczne pytanie, jakie padło w jednym z zakładów pracy województwa: „Czy można prowadzić odnowę starymi ludźmi?”. Na pewno nie można przy pomocy tych, którzy po staremu myślą i działają, którzy niewiele zrozumieli z tego, co dzieje się w kraju od siedmiu miesięcy. Natomiast nie wolno — nie stać nas na to — by rezygnowali lub mogli odchodzić ci, którzy wnieśli i wnoszą niemały, konstruktywny wkład w wydarzenia, procesy i przemiany jesieni 80. Demokracja, której tak nietatwo się uczymy, polega także i na tym, by oceniać ludzi według ich pracy i zaangażowania, a nie na podstawie stempelka z datą w dowodzie osobistym.

ANNA STOKROCKA

Życie człowieka jest nieustannym wyborem. Lecz któryż z członków partii myślał wstępując w jej szeregi i składając swojej organizacji partyjnej zapewnienie „TAK”, że oto przyjdzie czas refleksji nad wyborem ponownym, nad wyborem może jeszcze ważniejszym. Iu członków partii należy dziś do „Solidarności”? Tego nikt nie wie i nie jest możliwe — przynajmniej w tym momencie — wiedzieć. Ale skoro „Solidarność” powstała w wyniku masowego protestu klasy robotniczej i ogółu ludzi pracy — więc nie ulega wątpliwości, że do „Solidarności” należą również ludzie pracy z legitymacjami PZPR. A Iu członków partii wzięło udział w strajkach protestacyjnych? Tego też nikt nie wie i na pewno wiedzieć nie będzie. Wiadomo tylko, że wśród strajkujących byli również członkowie partii.

PARTYJNI W ZWIĄZKACH

Cheć nie chciał — spraw tych nie można nie dostrzegać. Są one kapitalne. Dla odzyskiwania sił przez partię, dla odnawiania się szeregów partyjnych — arcyważne.

Jak te sprawy widzi Komitet Centralny? Jak do nich podeszło VIII Plenum?

Wybór związku zawodowego — Komitet Centralny pozostawia do decyzji każdego członka partii. Komitet Centralny nie mówi w uchwale VIII Plenum, że do „Solidarności” nie wolno należeć, a natomiast wolno do związków branżowych i związków autonomicznych. Takie stanowisko Komitetu Centralnego wynika z realnej oceny sytuacji jaka obecnie powstała w ruchu związkowym, a także wynika z oceny poglądów samych członków partii. Jest to stanowisko życiowe, bardzo mądre.

Partia musi być tam gdzie są ludzie pracy, gdzie jest klasa robotnicza — oto pierwsza pryncypialna przesłanka w tej tak ważnej kwestii. Sformułował ją na VI Plenum Stanisław Kania i obowiązuje ona do dziś. Partia poprzez swoich członków musi być i w samej „Solidarności”, ponieważ tam są ludzie pracy, ponieważ trzon „Solidarności” to wielkoprzemysłowa klasa robotnicza. Poza tym partia nie dzieli ruchu zawodowego wedle jakiegoś „zdaje mi się”, albowiem nie da się on podzielić chociażby tylko ze względów czysto klasowych. Dlatego partia przyjęła drugą pryncypialną przesłankę, która streszcza się w stwierdzeniu: podział organizacyjny w związkach — to fakt, ale jedność klasowa, w tym również polityczna — to fakt kolejny. Łącznie więc „Solidarność”, związki branżowe — określające się jako klasowe, a także związki autonomiczne są w ocenie partii całością.

Takie podejście nie oznacza, że — jak to się mówi — „nie ma sprawy”.

Otóż — tak nie jest. Bo sprawa jest.

Komitet Centralny oceniając sytuację na VIII Plenum w swojej uchwale stwierdza co następuje: „Członkowie partii działający w ruchu związkowym powinni wszędzie i zawsze kierować się zasadami statutowymi partii, swoim przykładem i postawą wpływać na funkcjonowanie ogniw związkowych, by nie stawały się one narzędziem walki politycznej i nienadużywane było prawo do strajku. Członkowie partii nie mogą uczestniczyć w organizowanych strajkach o charakterze politycznym”.

Zatrzymajmy się na chwilę nad tymi zdaniami.

Z jednej strony Komitet Centralny przypomina o statutowych obowiązkach członka partii — co jest rzeczą zupełnie zrozumiałą i naturalną. Najwyższa władza partii ma nie tylko prawo wskazywać członkom partii kierunek wyboru, ale ma również obowiązek wskazywać na powinności statutowe. I nikt nie może jej — tej najwyższej władzy w partii — jaką jest między zjazdami plenarne zebranie Komitetu Centralnego — odmawiać takiego prawa. Dlatego Komitet Centralny sformułowaniem nadzwyczaj jasnym zakazuje członkom partii uczestniczenia w strajkach o charakterze politycznym.

Na taką formułę nie może nie być zgody.

Rzecz zrozumiała, że w tym przypadku rodzi się jednak pytanie zgoła podstawowe: Jak odróżnić strajk polityczny, od strajku socjalnego, nazwijmy go — społecznego?

Ten wielce kontrowersyjny problem musi wedle swojego rozpoznania rozstrzygać każdy członek partii, a już na pewno nie może milczeć na ten temat podstawowa organizacja partyjna. I chyba dziś właśnie — w tych nowych dla całej partii warunkach — na tym polega praca partyjna. A więc na inicjowaniu przez każdą podstawową organizację partyjną szybkich, a niekiedy wręcz błyskawicznych dyskusji w celu wypracowania stanowiska, przyjęcia uchwały i udzielenia członkom partii pomocy w dokonywaniu wyborów. Dawne — tak często nieruchawe lub zasypiające organizacje partyjne — teraz znalazły się w ogniu walki o to, co wszyscy zgodnie określamy odnową. Może niektóre organizacje jeszcze nie są dość dobre do takiej roli przygotowane? Może rutyna działania z poprzedniego okresu sprzyja dziś rozstrojeniu pracy ofensywnej. Na pewno wiele — zwłaszcza robotniczych organizacji — przeżywa nadal swego rodzaju wstrząs po latach siedemdziesiątych i ich dziedzictwie. Z dyskusji — jakie mają teraz miejsce w zakładach pracy — wynika przecież jedno: szeregowi członkowie partii nie zwalniają się od odpowiedzialności za kryzys społeczno-ekonomiczny i również moralny i nie są skłonni „metodą kelnerską” lub „kozła ofiarnego” wskazywać na nielicznych tylko jego sprawców. Poczucie współwiny, poczucie współodpowiedzialności jest dziś wśród szeregowych członków partii tak silne, jak poszukiwania gwarancji, że nawet w namiastce lata siedemdziesiąte nie powtórzą się. Tendencja jest nader oczywista: należy indywidualnie rozpatrywać odpowiedzialność ludzi poczynając od byłego I sekretarza KC, a kończąc na wielu członkach szeregowych. Ale nie należy zapominać o roli całej partii i odstępstwach w niej od uchwał, a nawet ich gwałceniu, gdyż trudniej będzie znaleźć te gwarancje.

Partia jest dziś w okresie, kiedy z oceny przeszłości stara się kształtować przyszłość.

Kiedy skończą się strajki? Kiedy wygaśnie tendencja do strajkowania?

Nikt nie może dać odpowiedzi jednoznacznej. Dlatego — o czym mówi Komitet Centralny w uchwale — walka polityczna będzie trwała. Nie osłabnie, a nawet w związku z pogarszaniem się sytuacji ekonomicznej — będzie się prawdopodobnie zaostrzać. Postawa polityczna każdego członka partii będzie miała dlatego znaczenie bardzo ważne. Postawa polityczna — partyjnych w „Solidarności”, jak i w innych związkach.

Niewątpliwie idziemy na dialog, ale dialog, wypracowywanie porozumień, kompromisy nie mogą być odczytywane jako słabość. Dialog to też linia polityczna partii, wynikająca z poczucia jej odpowiedzialności za Polskę.

MARIAN DŁUGOŁECKI



O DOBRE IMIĘ BUDOWLANYCH

Okres minionego półrocza sprzyjał aktywizacji nie tylko politycznej, ale także i zawodowej. W woj. legnickim pracuje ok. 5 tysięcy inżynierów i techników budownictwa. Jest to spora grupa ludzi, od których w zasadniczym stopniu zależy ilość i jakość tak oczekiwanych przez społeczeństwo mieszkań. Dotychczas warunki organizacji, zaopatrzenia i zarządzania budownictwem nie sprzyjały szybkiemu rozwiązywaniu problemu głodu mieszkań. Liczba czekających w spółdzielczej kolejce nie tylko się nie zmniejszyła, ale nawet znacząco wzrosła.

Sytuacja ta stwarza duży nacisk społeczny na budowlanych. Z drugiej strony zaś rodzi potrzebę rozwiązania wielu problemów środowiska budowlanych, ściśle łączących się z wykonywanym przez nich zawodem.

Dlatego w ostatnich miesiącach ub. roku uaktywniły się znacznie działające na terenie woj. legnickiego koła Polskiego Związku Inżynierów i Techników Budownictwa, zrzeszające ponad 480 osób. Na spotkaniu, w którym uczestniczyła sekretarz generalny Zarządu Głównego PZITB, Jadwiga Czerwińska, powołano oddział wojewódzki PZITB w Legnicy (dotychczas koło PZITB podległe były oddziałowi wrocławskiemu). Na czele prezydium stanął mgr inż. Stanisław Kapelski z Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej.

Najbliższe zadania nowego oddziału to zorganizowanie przeszkolenia inżynierów i techników w nowym systemie obliczania konstrukcji budowlanych, udział w przygotowaniach reformy systemu placowego, który uwzględniłby zaangażowanie i odpowiedzialność pracowników kierownictwa budów, a także powołanie legnickiego zespołu rzeczoznawców budownictwa. W planach pracy sporo miejsca poświęcono kształtowaniu etyki zawodowej inżynierów i techników budownictwa.

W lubińskich mieszkaniach jest zimno. Jeszcze w lecie ubiegłego roku mówiło się, że będzie to ostatnia zima bez nowej ciepłowni centralnej. Zima ochładza deklaracje, mrozi myśli i prowokuje do katastroficznych wizji.

ZAMROŻONA CIEPŁOWNIA

Na razie miasto grzeje elektrociepłownia ZG „Lubin”. Jest zimno nie dlatego, że jest za mała, tylko dlatego, że brakuje węgla. Zamiast spalać 500 ton na dobę, spala — 300. Bywają dni, że zapasy wynoszą 500 ton. Władze miejskie wyczekują każdego pociągu z węglem jak wybawienia. Transport przychodzi w ostatniej chwili. Jeszcze w czasie rozładunku idą w świat teleksy: przyslijcie węgiel.

Znawcy przedmiotu i odpowiedzialni za funkcjonowanie miasta już teraz obawiają się przyszłej zimy, bo nikt nie wierzy, że ruszy chociaż jeden kocioł budowanej ciepłowni. Deklaracje i myśli to dwie różne sprawy — głośno więc mówi się, że musi ruszyć. Rzeczywistość okazuje się chropawa i nakazy rzadko ją zmieniają — taka jej uroda. To „musi” jest odsuwaniem od siebie przykrego problemu, bo nikt praktycznie nie wie, co zrobić w przyszłym roku bez ciepłowni.

— Trzeba stanąć na głowie, żeby ciepłownia ruszyła, bo w 1982 roku staniemy przed koniecznością wstrzymania budownictwa mieszkaniowego — powiedział mi Piotr Czaja I sekretarz KM PZPR w Lubinie.

Rozmawialiśmy 24 stycznia 1981. Dwa tygodnie później byłem na budowie.

Wyjazd z miasta na Legnicę, za przejazdem kolejowym wertepami w prawo i w lutowym deszczu ze śniegiem majaczy typowa polska inwestycja — w szczerym polu. Rozmazane w mgiełce stalowe konstrukcje, niebieska plama kawałka gotowych ścian budynku głównego. Rozległy plac — tu coś zaczęte, tam coś kontynuowane, jeszcze gdzieś indziej coś ma się zacząć. W oddali spychacz lekko, bezdźwięcznie gładzi ziemię. Za nim nitka boczniczy kolejowej biegnącej donikąd.

Z bliska, tuż pod nogami, chlupocze błoto, stalowe konstrukcje zwalone wzdłuż prowdzorycznej drogi. Nad wszystkim króluje stalowy walec zbiornika refencyjnego na żużel. Króluje w zastępstwie komina, który ma już z 15 metrów na 225 planowanych. Obok szkielec budynku głównego, nad nim pochylone żurawie. Trwa montaż — kilka drobnych postaci niemrawo kręci się w pobliżu stalowych nóg.

— Będzie grzał ten jeden kocioł w tym roku?

— Eee tam panie! Kto panu takich bzdur naopowiadał? Najsamperw musi być komin. Jak na razie to nawet 6 metrów na miesiąc nie robią. Ja tam mocno w rachunkach nie jestem, ale tak po mojemu to więcej niż rok potrzeba — dokładnie, obojętnie wyklada mi facet w kufajce.

Ciepłownia, jak każdy obiekt ważny — wyższej użyteczności publicznej — ma swoją radę budowy czyli grono niekompetentnych opiekunów, którzy co pewien czas przyjeżdżają pochlapać się w błocie i zapytać: jak wam się pracuje? Radzie ciepłowni przewodniczył prezydent miasta. W czasie przeszłym, bo moda na opiekunów się skończyła, chociaż nikt tego oficjalnie nie odwołał. Rada była więc odpowiednikiem ekonomii z batem do poganiania tego, co można robić spokojnie, gdyby wcześniej pomyślano, że na początku lat osiemdziesiątych miasto będzie potrzebowało nowej ciepłowni. Za budowanie zabrano się pod koniec 1978 roku, a praktycznie od wiosny 1979, bo tak się złożyło, że była kolejna zima stulecia. Za to zabrano się z rozmachem i dużymi nadziejami, że jakoś się zdąży.

Generalnym wykonawcą jest Lubińskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego. Podwykonawcy „Piec-Bud” i Energomontaż — Zachód mają swe siedziby w baraku biurowym na terenie budowy.

Pokój „Energomontażu”.

— Informacje dla prasy może udzielać dyrektor generalnego wykonawcy — zastrzega się Mirosław Kozera, kierownik budowy. Po cichutku mówiąc, żeby uruchomić ciepłownię... — urywa nie dowierzając, że nie zapiszę. — Mogę mówić o swojej firmie. Na ten rok dostaliśmy 32 miliony do przerobu. To na pierwszy etap oczywiście, żeby uruchomić jeden kocioł. A nam do tego potrzeba 42 miliony. bo 5 przerobiliśmy w ubiegłym roku. Niech pan nie pomyśli.

że narzekamy na brak środków. Te 10 milionów wcale nam nie są potrzebne, bo i tak „Piecobudowa” nie zrobi komina, a bez niego ciepłownia będzie bezużytecznym pomnikiem. Zresztą na razie nie mamy co robić, bo wykonawca nie przygotował frontu robót.

— Właśnie zauważyłem, że prawie was na budowie nie ma.

— W każdej chwili możemy zwiększyć załogę. Teraz do budynku głównego i kotłowni więcej ludzi nie potrzeba. Na nawęglaniu nie ma co robić — to tam, gdzie będzie przywożony węgiel — bo na razie jest tylko ściana oporowa. Miejsce na zbiorniki oleju też jest zupełnie nie przygotowane, itd. Zresztą wszystko tu jest robione bez głowy. Zamiast zacząć od doprowadzenia bocznic kolejowej i wozic tą drogą materiały, to robi się to na końcu. Wożą elementy samochodami i zwalają je jak leci. Ludzie nie raz po dwa dni szukają właściwego. To ma być robota!

Władze miejskie i partyjne bardzo się martwią i dużo myślą, co zrobić, żeby mieszkańcy nie marzyli. Jest to stanowcze, bo martwić się trzeba, żeby budowlani się pośpieszyli. Głośno nikt nie chce puścić pary z ust — określenie może niezbyt ładne, ale za to adekwatne, bo na dworze zima — na temat ewentualnego manewru, gdyby ciepłownia jednak nie ruszyła, bo się budowlani rozleniwili. Trzeba trzymać się tonu nakazowo-katastroficznego i tyle.

Wiesław Wieczorek, sekretarz do spraw ekonomicznych KM w Lubinie. Rozmowa telefoniczna.

— Dajcie mi dyr. Śmiechowskiego (dyr. Lubińskiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Przemysłowego — przyp. red.) Wieczorek Jest u mnie redaktor z „Konkretów”. No jak tam z ciepłownią?

— Nie ma szans skończyć w tym roku — charczy słuchawka.

— Zaskoczyliście mnie — mówi sekretarz robiąc do mnie zaskoczona minę. Musicie towarzyszyć dyrektorze!

Urząd Miasta. Rozmawiam z wiceprezydentem Zenonem Soltysakiem.

— Co pana do mnie sprowadza?

— Tempo robót na budowie centralnej ciepłowni dla Lubina.

— Jeden kocioł musi ruszyć, bo już dzisiaj potrzeby miasta szacuje się na 135 gigakalorii na godzinę, a elektrociepłownia ZG „Lubin” może dać najwyżej — 117. Wierzę w to, że budowlani dadzą radę, w ubiegłym roku obiecywali nam ten jeden kocioł.

— A ja nie wierzę i pan też nie wierzy. bo wie pan tak samo jak ja, że nie zdąży postawić komina nawet do końca roku.

Po tym moim wstępie chwilę taksujemy się spojrzeniami. Żeby nie trzymać prezydenta w niepewności chwale się, co wiem. Przedstawiam wizję katastroficzną. Jest

zimno, na dworze hula wiatr, elektrociepłownia ledwo dyszy. Jedyna przepompownia w mieście tłoczy ciepłą wodę do najbliższych położonych osiedli. Na „Przylesie” czyli na drugi koniec miasta dochodzi pod słabym ciśnieniem i dobrze schłodzona. Nowe osiedle „Ustronie” stoi puste, bo nie można go podłączyć do przeciążonej sieci. Miasto nie dostaje oczekiwanych 1185 mieszkań. Jest nadal 10 tys. czekających i kłócących na czym świat stoi. Ci co już mieszkają, marzną. Na domiar złego przychodzi zima stulecia. Szkoły pozamykane, w żłobkach i przedszkolach dzieci chorują. Połowa lubińskich matek bierze opiekę nad dzieckiem. Biura, zakłady pozamykane. Apokalipsa.

Wiceprezydent wyraźnie jest zadowolony z mojego nastawienia. Jeszcze jeden sprzymierzeniec w walce podjazdowej z budującymi ciepłownię.

— Co zrobicie panie prezydencie?

— Wierzę, że jeden kocioł ruszy, musi ruszyć!

— Tu nie wiara jest potrzebna, tylko realna ocena sytuacji.

— Tak naprawdę przewidujemy, że jeszcze jeden sezon będziemy musieli ciągnąć na tym, co mamy. Te 135 gigakalorii to są maksymalne potrzeby miasta liczone przy — 18 st. C. Rzadko u nas są takie zimy. Możemy się więc spodziewać, że przyszła też będzie dla nas łaskawa. Oprócz elektrociepłowni w przyszłym roku zaczną pracować remontowana obecnie kotłownia „Lamonta” na osiedlu Staszica — jej wydajność 10 gigakalorii. Prowadzimy też wstępne rozmowy z elektrociepłownią w Polkowicach, żeby nam odstąpili trochę ciepła. Tylko proszę tego nie pisać, bo musimy zdupingować budowlanych. Jak zobaczą, że widzimy wyjście z sytuacji, to nie skończą w tym roku.

— Tam siedzą dorośli ludzie i wiedzą, co można zrobić. Oni tak samo jak wy nie wierzą w ten termin. Po co te podchody?

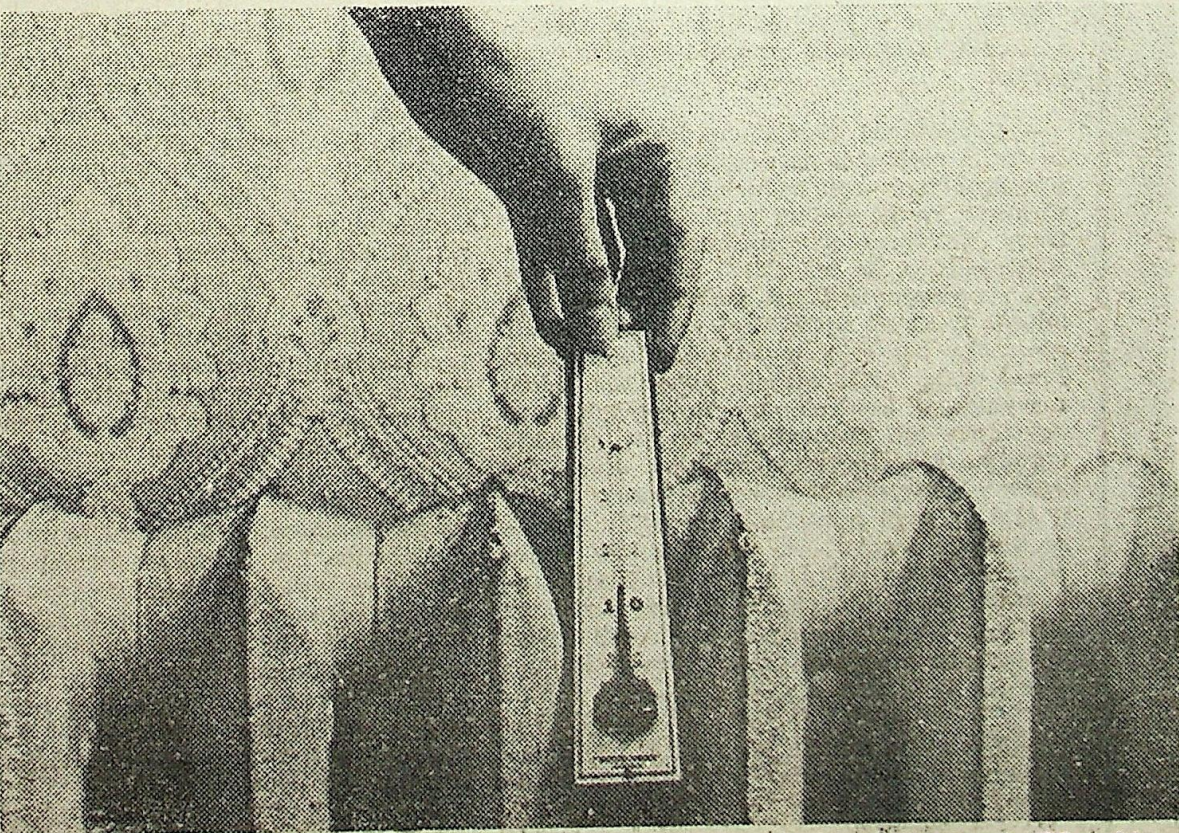
Następne pół godziny rozmawiamy o tym, jak ciężkie życie mają władze miejskie. Ile to problemów staje w poprzek i ani rusz nie chcą się ruszyć. Wychodzę z przeświadczeniem, że władze miejskie są zatroskane, no ale co oni mogą zrobić?

Siedziba LPBP. Gabinet dyrektora Rolanda Śmiechowskiego. Jest również przedstawiciel inwestora czyli KGHM — dyr. Zbigniew Grzyb i zastępca dyr. LPBP Edward Półgrabie.

— Panowie, miasto liczy na was, podobno obiecywaliście, że w tym roku ruszy jeden kocioł.

— R. Śmiechowski: W ubiegłym tygodniu była Społeczna Rada Dyrektorów, na której były również władze miasta i jasno powiedzieliśmy, że nie ruszy.

(Dokończenie na str. 15)



Fot. Waldemar Sikorski

Z JANEM KWAKSZYCEM, przewodniczącym Wojewódzkiej Rady Narodowej w Legnicy rozmawia Grzegorz Chmielewski.

Z ROLNICTWEM JEST RÓŻNIE

● W ostatnich miesiącach wyborów nie było, ale czy jest to ta sama Wojewódzka Rada Narodowa, co przed sierpniem 80?

— Mówiąc krótko: i tak, i nie. Tak — bo rada, komisje i radni WRN byli zawsze odważni i stawiali sprawy nurtujące społeczeństwo. Nie — bo było wiele warunków kłapiących inicjatywę, stąd WRN, mimo swoich uprawnień i kompetencji, nie była w stanie zawsze działać prawidłowo. Takie są odczucia wielu radnych i wyborców. Dyskusja była sterowana, w niektórych przypadkach nie tylko radnym, ale i nawet członkom Prezydium WRN odebrano głos, mimo że społeczeństwo zobowiązywało ich do podniesienia danej sprawy. Na zgłaszane interpelacje w sprawie o dużym znaczeniu radni otrzymywali najczęściej ogólnikowe i w niczym nie zobowiązujące urzędu odpowiedzi. Dlatego uciekali się do zgłaszania spraw drobnych, by chociaż tutaj coś zrobić dla swego środowiska.

Eksplozja nastąpiła na sesji wrześniowej. Było dużo wniosków i interpelacji ze wszystkich środowisk. Radni uaktywnili się gwałtownie. Chęć wnosić pod obrady te wszystkie sprawy, nabrzmiałe bólekami z lat ubiegłych, które dotąd nie zawsze miały dostęp na sesje.

● Czy tematy poruszane przez radnych pokrywają się z postulatami załóg pracowników zgłoszonymi ubiegłej jesieni?

— Tak. Szczególnie w sprawach handlu, zaopatrzenia ludności, mieszkaniowych. Nie może być tutaj różnic, gdyż radni WRN są przecież pracownikami tych zakładów i instytucji, które zgłosiły postulaty. Mamy też grono radnych — członków „Solidarności”. Różna jest natomiast forma przedstawiania problemów. Załogi stawiają sprawy w sposób bardziej zdecydowany, jednoznaczny. Radni WRN mówili o tych sprawach już dawno, ale delikatnie. Wynikało to z tego, że ciągle byli pod presją różnych tłumaczeń, że realizujemy manewr gospodarczy, że brakuje środków, że są trudności obiektywne. To stępiało czasem jasność spojrzenia i ton interpelacji czy wniosku. Trzeba jednak powiedzieć, że interpelacje w WRN nie pojawiły się dopiero po sierpniu, tak jak w wielu innych województwach, gdzie nie notowano ich przez całe kadencje. W woj. legnickim instytucja interpelacji była zawsze żywa. Teraz zaistniała nowa jej jakość. Radny formułuje ją w sposób ostry i kategoryczny. Nie zadowala się byle jakim wytłumaczeniem. Na ostatniej sesji radny Biliński, który składał interpelację w sprawie ziemi rolników gminy Głogów, po prostu przywołał dziewięciu młodych rolników i zażądał od wojewody, aby jednoznacznie stwierdził, czy ci ludzie mają uprawiać swoją ziemię, czy pójdzie ona na rozbudowę miasta. Wojewoda przyznał prawo do tej ziemi rolnikom. Dziś ludzie chcą jasnych odpowiedzi. Nie można już im powiedzieć, że mamy plan otwarty, że ci, którzy szybciej zaawansują roboty, to wygrają...

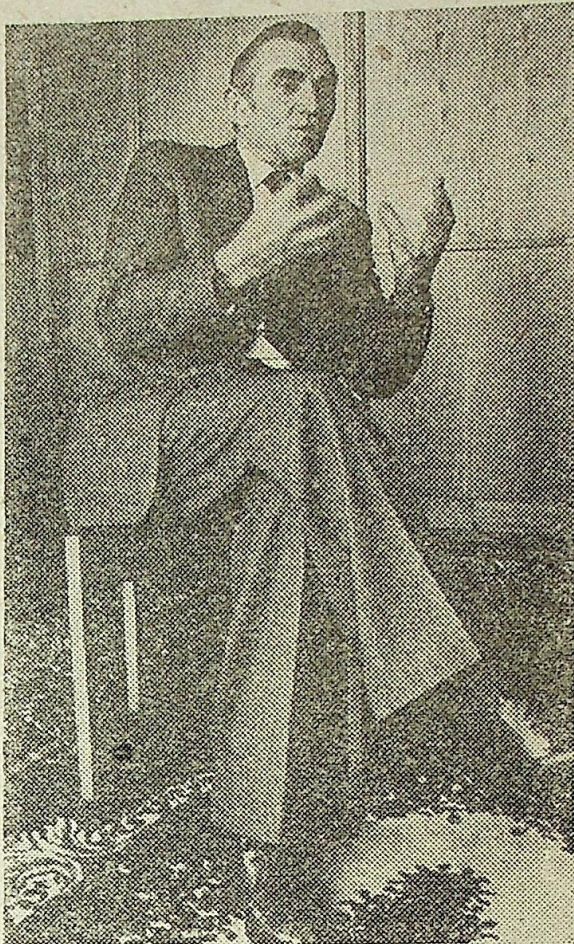
● Wynika z tego, że WRN jest zainteresowana realizacją postulatów pracowników?

— Oczywiście! Przejawem tego jest fakt, że ocena realizacji porozumień i postulatów zgłoszonych w woj. legnickim będzie przedstawiona na specjalnej sesji. Zaproponowaliśmy „Solidarności” współpracę w jej przygotowywaniu. W tej chwili zespoły składające się z radnych WRN, przedstawicieli Komitetu Kontroli Społecznej i „Solidarności” prowadzą kontrolę w 38 zakładach pracy. Przed sesją WRN zespoły zapoznają załogi z wynikami kontroli, żebyśmy mogli znać dokładnie ich stanowisko w tej sprawie i podjąć merytorycznie rzetelną ocenę. To będzie w kwietniu. W marcu będziemy chcieli dać na sesji odpowiedź na pytanie, które nurtuje wszystkich mieszkańców województwa: jak wygląda sprawa budowy domków jednorodzinnych, willi itd. Dyrektor NIK-u z Wrocławia zapozna radnych z wynikami obecnie prowadzonych kontroli.

● Ilu osób dotyczą te kontrole?

— Takiej informacji nie mamy. Nie chcemy zresztą tej sprawy załatwiać w kulisach, w cztery oczy, ale na sesji WRN.

● Jak według Pana społeczeństwo ocenia realizację porozumień?



Fot. Waldemar Sikorski

— Jest niezadowolone. Ale stopień realizacji postulatów wynika przecież z możliwości społeczno-ekonomicznych kraju. Np. rolnicy domagają się załatwienia całego kompleksu spraw, prawidłowej relacji cen, zaopatrzenia w środki produkcji, technikę i mechanizację na wsi... Sytuacja jest zaś bardzo trudna i to idzie powoli. Uważam, że powstało niebezpieczeństwo niezrealizowania postulatu poprawy zaopatrzenia. Na sesjach wielu naszych radnych domaga się równego podziału tego, co mamy do dzielenia. Tak, żeby żadne miasto czy środowisko nie było pokrzywdzone. Administracja jednak stoi na stanowisku, że są aglomeracje, wielkie skupiska ludzi zatrudnionych w przemyśle, gdzie nie ma możliwości samozaopatrzenia, i tam trzeba dać trochę więcej.

● Ukazują się jednak informacje, np. w biuletynach „Solidarności”, że rząd w celu skłócenia społeczeństwa wielkie ilości żywności trzyma w magazynach, zamiast zaopatrywać sklepy...

— O ile się orientuję, nie ma takiej sytuacji. Często stykam się ze spółdzielczością mleczarską, ze spółdzielniami WZSR-u — ilość masy towarowej, która spływa od producentów do przetwórstwa jest daleko niewystarczająca w stosunku do potrzeb. Oczywiście takie posądzenia mogą powstać, jeśli weźmie się pod uwagę, że Polska jest czołowym, światowym producentem mleka, a brakuje nam masła, że Polska posiada pogłowie trzody chlewnej na poziomie RFN i większe niż we Francji, a nie mamy mięsa... Z drugiej jednak strony prawdą jest, że około 30 proc. mięsa tracimy w drodze od producenta do konsumenta. Takie są efekty działania scentralizowanego systemu przetwórstwa. Ponosimy też olbrzymie, związane z tym koszty transportu. Innym, wielkim marnotrawstwem żywności jest zła jakość wyrobów z mięsa...

● Obecny klimat przemian w Polsce na samorządność i demokrację w życiu gospodarczym i politycznym tworzy pomyslną atmosferę wokół rad narodowych. Mówi się jednak, że rada będzie taka, jaką uczynią ją radni. W dyskusji redakcyjnej, jeszcze latem ub. roku, radni doszli do wniosku, że status radnego wzrosłby, gdyby na przykład na froncie ich domów wywieszać odpowiednie tablice informacyjne. Takie, jakie mają lekarze czy tłumacze...

— Nie szyldy i reklama przesądzą o autorytecie radnego. To musi być autorytet wypracowany, posiadający wsparcie społeczne

w tej grupie czy środowisku, które oddało na niego swój głos.

● Proces kształtowania się statusu radnego zaczyna się więc w momencie wyborów. Czy społeczeństwo mogło dotychczas rzeczywiście wybierać? Moim zdaniem — tylko głosowali.

— Mamy najmniej demokratyczną ordynację wyborczą wśród krajów socjalistycznych i trzeba ją zmienić. Społeczeństwo musi brać czynny udział w typowaniu kandydatów, a nie tylko w głosowaniu na przygotowane za jego plecami listy. Wyborcy powinni włączać się w to od początku kampanii, a wybory powinny być tylko ukoronowaniem tego procesu.

● Albo odwrotnie. Skupić zasadniczy ciężar budowy społecznej reprezentacji w postaci rady narodowej właśnie na akcie wyborczym. Na wyborach autentycznych, z wieloma konkurującymi kandydatami, typowanymi nawet w sposób spontaniczny.

— Można to robić chociażby tak, jak na Węgrzech. Są okręgi jednomandatowe i o ten jeden mandat zabiega kilku kandydatów. U nas istnieje przede wszystkim konieczność zniesienia miejsc mandatowych i niemandatowych. Taki podział jest zaprzeczeniem podstawowej zasady prawa wyborczego — równości. Potrzebujemy nowej ustawy o radach narodowych, która gwarantowałaby jej taki status i pozycję, jaką zakładał w teoretycznym modelu Lenin. Cały system prawny musi być spójny. Dotychczas w ustawie o radach narodowych wymienia się szereg kompetencji. Mamy się troszczyć o oświatę, służbę zdrowia, rozwój gospodarczy, zaspokojenie potrzeb żywnościowych, ale inne ustawy, zarządzenia i okólniki oraz cały system ekonomiczny wyjmują spod rządzenia rad narodowych takie ważne działy, jak rolnictwo czy gospodarka komunalna. Np. decyzję o lokalizacji nowej szkoły podejmuje minister oświaty i przewodniczący Komisji Planowania przy Radzie Ministrów. A skoro WRN ma kompetencje w kwestiach oświaty — ona powinna o tym zadecydować. Niech minister troszczy się o programy nauczania. Gdzie zbudować szkołę — wiemy lepiej. Muszą się zmienić relacje między organem przedstawicielskim a wykonawczym. Rada nie może jedynie opiniować wybór kandydata na wojewodę czy prezydenta. Musi go po prostu wybierać. Powinna też mieć wpływ na obsadę kadrową na kierowniczych stanowiskach w urzędach. Co z tego, że radny zgłasza wnioski. Tryb załatwiania wniosku „zwykłego” obywatela i radnego różni się tym, że pierwszy wg urzędowych zasad powinien otrzymać odpowiedź w ciągu miesiąca, a drugi — dwóch tygodni...

● Tak się stało, że przewodniczącym WRN-u został członek Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego i rolnik indywidualny. Czy rolnictwo może liczyć na to, że WRN w większym niż dotychczas stopniu będzie pracować nad rozwiązaniem problemów wsi?

— Z pewnością tak będzie. Przemysł, szczególnie ten wielki, ma dużą siłę przebicia i zazwyczaj sam się broni. Natomiast z rolnictwem jest różnie. Dlatego wybór rolnika będzie chyba wpływał w dużym stopniu na to, że — zresztą zgodnie ze społecznymi oczekiwaniami — sprawy rolnictwa będą odgrywały w pracach WRN pierwszorzędą rolę. Można powiedzieć, że najważniejszą obecnie sprawą dla miasta jest po prostu rozwój wsi.

● Mam więc dla Pana pierwszy problem. Przez ostatnie lata województwo szczyliło się szybkim rozwojem sektora uspołecznionego rolnictwa, dokumentując to m. in. napływem ziemi w tym kierunku od rolników, którzy oddawali gospodarstwa za renty i emerytury. Tymczasem w Ścinawie spotkałem się z paradoksalną sytuacją. W ub. roku decyzją władz ziemie eskaerowską dałno pegeerowi motywując to potrzebami gospodarzami państwowego gospodarstwa. Jesienią, już w czasie odnowy, PGR zmienił decyzję, gdyż okazało się, że nie jest w stanie zagospodarować przejętych gruntów. Ziemię kupują chętnie okoliczni chłopcy. Czy można uznać ten przykład za zjawisko szerokie w Legnickiem?

(Dokończenie na str. 17)

Kompletne wyobcowanie mieszkańców nowych osiedli, oderwanie od życia społecznego, to sprawa niejednokrotnie poruszana w prasie i dyskusjach telewizyjnych. Młodzi ludzie przybývający z najrozmaitszych okolic przez wiele miesięcy żyją obok siebie bezimienni. Dlaczego tak się dzieje, również u nas w Legnicy, Głogowie, Lubinie?

W CZYM TKWI BŁĄD?

Jednym ze statutowych obowiązków spółdzielczości mieszkaniowej jest prowadzenie działalności społeczno-wychowawczej. Fundusze na te cele gromadzi się z lokatorskich dopłat do czynszu, a wynoszą one obecnie nie więcej niż 20 gr od metra kwadratowego zajmowanej powierzchni. To z tych kwot opłaca się instruktorów odpowiedzialnych za działalność społeczno-wychowawczą, kupuje materiały, sprzęt, etc. Aby jednak ową działalność prowadzić, konieczne staje się rozpoznanie potrzeb mieszkańców, ich zainteresowań.

Niestety, sprawa nie jest prosta. Do tej pory, jak wynika z wypowiedzi przedstawicieli samorządów mieszkańców i pracowników spółdzielni, udało im się zainteresować, wciągnąć w zakres działalności społeczno-wychowawczej jedynie dzieci i seniorów. Młodzi mieszkańcy osiedli działają w dziecięcych samorządach (przy spółdzielniach w Lubinie i Głogowie), biorą udział w zajęciach klubowych i świetlicowych. Seniorzy chętnie spędzają wolny czas w kulturalnych placówkach spółdzielni. Formy jego zagospodarowania nie są im znikąd narzucone. Obmyślają je sami. Chętnie włączają się w życie całej społeczności osiedlowej czy to przez pracę w Komitetach Domowych, czy też podejmowanie inicjatyw na rzecz mieszkańców. Jeśli chodzi o tę ostatnią formę działania, to godna naśladowania wydaje się propozycja seniorów ze Spółdzielni Mieszkaniowej w Głogowie. Założyli oni Spółdzielnię Usług Lokatorskich i w ten sposób uzyskują fundusze dla swej działalności samorządowej.

Działalność społeczno-wychowawcza prowadzona przez spółdzielczość mieszkaniową ma na celu przede wszystkim integrację ludzi zamieszkujących poszczególne osiedla, winna więc skupiać jak najszersze rzesze mieszkańców. Gros z nich to ludzie w tzw. wieku produkcyjnym i niestety, właśnie oni

wymykają się z zakresu oddziaływania inicjatyw spółdzielczych. Trudno bowiem uznać za sukces fakt, iż kilkadziesiąt osób działa np. w sekcji brydżowej czy też gra w tenisa lub kręgle. Nie zadowala również istnienie kilku grup mieszkańców o wyjątkowo specyficznych zainteresowaniach (Klub Grotolazów w Głogowskiej SM, sekcja numizmatyczno-archeologiczna w Lubinie). Zdecydowana część lokatorów nie daje się zachęcić do żadnej działalności. Wyjątek stanowią duże imprezy o charakterze sportowo-rekreacyjnym, na które przychodzą całe rodziny. Spółdzielcy wraz z działaczami samorządów mieszkańców często zadają sobie pytanie — co by tu dorosłemu społeczeństwu zaproponować?

Podstawową wydaje się tutaj sprawa przełamania ludzkiej bierności. Nie da się jednak jej pokonać, dopóki ludzie przychodzący po pracy do domu będą musieli biegać do centrum miasta po zakupy, czy też latać nie naprawione przez budowlanych usterki. Podstawową sprawą jest niewątpliwie także zapewnienie opieki nad dziećmi, zwłaszcza małymi. Problem ten został znakomicie rozwiązany w Głogowie. Po wykreśnieniu odpowiedniego numeru telefonicznego każda młoda rodzina może liczyć na pomoc Młodzieżowej Spółdzielni Usługowej. Za niewielką opłatą wykwalifikowana opiekunka (uczenice Liceum Medycznego bądź Studium Wychowawczyń Przedszkoli) zajmie się przez kilka godzin dzieckiem, a rodzice mogą swobodnie gospodarować czasem. Co im jednak na osiedlu można zaproponować?

Spółdzielcze kluby i świetlice są z reguły niewielkie. Mogą jednak na pewno stać się miejscem zorganizowanego spotkania towarzyskiego. Można do nich także zaprosić jakiegoś interesującego człowieka. Czy jednak ludzie przyjdą na takie spotkanie?

Zależy to od wielu czynników. Jednym z nich i wcale niebagatelnym jest odpowie-

dnia reklama. Ta jednak w spółdzielczej działalności społeczno-wychowawczej szwankuje. Rozwiesza się wprawdzie plakaty na klatkach schodowych, lecz czyta je niewiele. W większości osiedli nie ma na do-datek stałych tablic informacyjnych.

Drugi problem — to niemożność organizowania przez spółdzielnię samodzielnych imprez kulturalnych. Zresztą dlaczego właśnie spółdzielczość mieszkaniowa miałaby się tym zajmować? Istnieją przecież powołane specjalistyczne placówki, takie choćby jak teatr, agencje rozrywkowe, galerie, domy kultury itp. Czemu właśnie one nie wychodzą ze swoją działalnością poza mury macierzystej siedziby? Jasne jest, że nie każdy spektakl teatralny można przenieść do osiedlowego klubu i że nie o takie przeniesienia przecież chodzi. Można jednak proponować wszelkiego rodzaju kameralne formy teatru. Te zaś z jednej strony umożliwiłyby szerszej grupie, zaganianego społeczeństwa uczestnictwo w sztuce, z drugiej natomiast zachęciłyby ludzi właśnie do przychodzenia do własnej siedziby Melpomeny. Niestety, placówki kulturalne nie bardzo się kwapią do współpracy ze spółdzielczością mieszkaniową. Niektóre nawet niechętnie udostępniają swe materiały propagandowe do rozpowszechniania w osiedlach. A kto na tym traci? Chyba i jedni, i drudzy.

Działalność społeczno-wychowawcza podejmowana przez spółdzielczość mieszkaniową jest inicjatywą niewątpliwie słuszną i potrzebną. Wartość jej tkwi przede wszystkim w tym, aby pomóc mieszkańcom w odnalezieniu właściwego miejsca w społeczności miejskiej. Wielu z nas przecież mieszka w miastach, a nie korzysta właściwie z priorytetów kulturalnych, jakie stwarza ta sytuacja.

Wojewódzka Spółdzielnia Mieszkaniowa w Legnicy, a co za tym idzie, wszystkie podległe jej placówki w regionie, współpracują z wieloma instytucjami społecznymi (TKKF, PTTK, TPD, ZHP, TPPR, Liga Kobiet i inne). W wielu wypadkach współpraca ta układa się nawet pomyślnie, lecz z jej efektów korzysta niewielka liczba mieszkańców. Instytucje te traktują po prostu teren osiedli spółdzielczych jako jeden z obszarów swego działania. Wygląda zaś ono bardzo rozmaicie. TKKF na przykład jest współorganizatorem tradycyjnego już konkursu „Sport i rekreacja w osiedlu”. Jest także współorganizatorem sekcji karate w Głogowie (ok. 400 osób) czy sekcji kultury przy klubie „Nasza Chata” w Lubinie. W zakresie organizowania czasu wolnego młodzieży pomaga działaczom spółdzielczym TPD i ZHP.

Obydwie te organizacje zapewniają wakacyjny wypoczynek dzieci na obozach (np. w Wygnańcach zorganizowany przy współpracy KH ZHP w Legnicy). Sądzę jednak, że wszelkie poczynania podejmowane w porozumieniu ze współpartnerami, jakimi są organizacje społeczne, winny być przez spółdzielczość mieszkaniową jedynie współdotowane bądź popierane, nie zaś inicjowane.

Podobnie ma się sprawa w przypadku współpracy z instytucjami kulturalnymi. Samorządy mieszkańców i pracownicy spółdzielni mogą jedynie zapewnić odpowiednią bazę lokalową lub propagandę. Resztą niech zajmą się ludzie do tego powołani. Spółdzielcom zaś przy szerokim udziale samych mieszkańców pozostawmy takie drobne formy inicjatyw, jak organizowanie osiedlowych ciemni czy wypożyczalni sprzętu sportowego.

Reasumując — niech każdy robi to, co do niego należy. Nie stwarzajmy sztucznych czy wręcz pokracznych i wynaturzonych sytuacji, gdy spółdzielnia mieszkaniowa organizować będzie koncerty i martwić się o zapewnienie na nich publiczności, a lokatorom będą przeciekać instalacje czy brakować będzie na osiedlu punktu medycznego.

Jeżeli zaś sami mieszkańcy, poprzez swe organy samorządowe, zechcą się zająć działalnością społeczno-wychowawczą, to niech w pracownikach spółdzielni znajdą ludzi służących fachową radą i pomocą.

EWA HA



Fot. Stanisław Ossowski

Z Elżbietą Opłotowicz, kierowniczką Kuratorskiego Ośrodka pracy z Młodzieżą w Polkowicach — rozmawia Zbigniew Krupa.

NIE ZAWSZE WYGRYWAMY

● Kuratorski Ośrodek Pracy z Młodzieżą. Czy może pani powiedzieć, co się kryje za tym szyldem?

— Materialnie?

● Tak...

— Dwa pokoje w Inspektoracie Oświaty i Wychowania w Polkowicach, 16 społecznych kuratorów głównie zetesempowców z ZG Lubin i 14 dzieci w wieku od ośmiu do czternastu lat.

● A nie materialnie?

— Otoczenie opieką młodzieży, która weszła w konflikt z prawem. Dzieci zaniechanych przez rodziców...

● Bliżej...

— Zajęcia odbywają się cztery razy w tygodniu od godz. 15 do 18.30. Prowadzi je jeden z kuratorów. Pilnuje, aby podopieczni odrobili zadane w szkole lekcje. Prowadzone są też zajęcia świetlicowe. Można pograć w ping-ponga, obejrzeć program w telewizji. Oprócz tego młodzież przygotowuje różne wystawy, programy na Dzień Matki, Babci, z okazji Dnia Kobiet. Niekiedy organizujemy wycieczkę, ale przede wszystkim nacisk kładziemy na dożywianie.

● Zajęcia świetlicowe? Przygotowywanie różnych akademii? Czym więc KOPzM różni się od szkolnej świetlicy?

— Słusznie. Rzeczywiście jest podobieństwo, jeżeli chodzi o formę wypełniania czasu dzieciom. Ale nie chodzi nam jedynie o to, by rzucić im klocki, aby się czymś zajęły i nie broiły. Oczywiście jest to ważne, ponieważ zajęcia u nas odcinają je od środowiska, w którym najczęściej przebywają. Ale w naszej pracy najważniejsze są indywidualne rozmowy z podopiecznymi. Proszę pamiętać, że trafiają do nas dzieci, które są poważnie zaniechane. W domu nikt się nimi nie zajmuje. Często są nie tylko brudne, ale i nie potrafią zrozumieć wielu podstawowych pojęć, ba często pierwszy raz słyszą o uczciwości, rzetelności. Trzeba im to tłumaczyć...

● Z jakim skutkiem?

— Do tego zmierzam. Właśnie takie indywidualne rozmowy, opieka, pokazanie mu, że potrafi sam zrobić coś pożytecznego, sprawia, że niektóre dzieci zaczynają rozumieć, że nie można kraść i trzeba się uczyć. Poza tym często wtedy na twarzy wychowanika pojawia się uśmiech. Czy to nie jest ważne?

● Powiedziała pani: niektóre dzieci...

— Tak... niestety nie mamy żadnej recepty na indywidualne wychowanie. Zresztą czy ktoś ją ma? My, kuratorzy staramy się zrobić wszystko, aby nasi podopieczni nie zeszli, czy nie wrócili na złą drogę. Ale czy wszystko zależy od nas? Co z tego, że przez trzy godziny będziemy przekonywać chłopaka, iż postępuje źle, skoro po wyjściu od nas spotka się ze swymi kolegami i nie chcąc być lalusem zapomina o przestrozach. A rola rodziców w wychowaniu? Niestety, dzieci czy młodzież, która trafia do ośrodka, pochodzi z rozbitych rodzin, ze zdeprawowanych. Tam najczęściej przebywa i te warunki kształtują ich osobowość. Zmianę jej, mimo że są to młode organizmy, jest przez to bardzo trudne. Dlatego nie zawsze się nam udaje „wygrać” go dla społeczeństwa.

● W takim razie czy istnienie kuratorskich ośrodków jest potrzebne? Nie szkoda dla nich funduszy? Nie wystarczy tradycyjny dozór kuratora?

— Kiedy pięć lat temu powstawał ośrodek, również zadawaliśmy sobie to pytanie. Ale teraz jesteśmy innego zdania. Dam przykład. W ubiegłym roku Ministerstwo Sprawiedliwości zamierzało zlikwidować ośrodki. Dowiedzieli się o tym nasi młodzi kuratorzy, zetesempowcy z ZG-Lubin. Jak to? — pytali się. Zmarnować tyle naszego wysiłku jedną decyzją? Uważa się, że my nie

nie robimy? Nawet jeżeli na sto jedno dziecko przywrócimy społeczeństwu, to już jest sukces. Inna sprawa, że dzięki ośrodkowi praca z młodzieżą jest bardziej efektywna. Przy indywidualnym dozorze kurator ze swym podopiecznym widzi się raz na tydzień. Teraz ilość spotkań się zwiększyła, młodzieńczę częściej jest przez nas widziany. Łatwiej oddziaływać na niego. Wreszcie ośrodek jest potrzebny naszym wychowankom. Przychodzą do nas sami i chcą tu być, mimo że nikt ich do tego nie zmusza. Po prostu czują się u nas dobrze. Mogę powiedzieć, że na przykład w ubiegłym roku, było tylko dwóch chłopców, którzy chodzili w kratkę.

● Wspomniała pani, że społeczni kuratorzy włożyli tutaj wiele swego wysiłku. Czy jednak można tak mówić? Przychodzą tu na dyżury. Obiady są załatwione ogólnie, jest sprzęt. Nie tylko dać go dzieciakom...

— Nie dziwię się ich postawie i zapale. ZSMP-owcy włożyli w ten ośrodek wiele serca. Sami wyremontowali te dwa pokoje. Przez pięć lat po pracy przychodzili tutaj z własnych chęci i chęcią zamyślenia. A praca ta nie jest lekka, wręcz harowa. Trzeba bez przerwy uważać co tam, który z podopiecznych robi, co kilkanaście minut zmieniać zajęcia, by się nie nudzieli. I mimo to ci młodzi ludzie czują się oburzeni, że chce się im zabrać to wszystko.

● Postawmy sprawę inaczej. Kuratorów jest szesnastu, trudnej młodzieży o dwójce mniej. Czy nie jest to z waszej strony pewne pójsie na łatwiznę? Mniej dzieci, mniej problemów. Dlaczego nie zajmiecie się większą grupą? Wiadomo, że zagrożonej młodzieży jest znacznie więcej...

— Widzę, że pan usiłuje mnie podejść. Powiedziałam już, że taki ośrodek jest potrzebny, chociaż swą rolę spełnia w minimalnym stopniu. Poza tym zajmujemy się młodzieżą skierowaną do nas przez sąd. Dziećmi, które nie zasłużyły jeszcze na zakład wychowawczy czy poprawczak czyli rokujące nadzieje. Z drugiej strony pomieszczenie jest tak małe, że nie możemy więcej przyjąć.

● Nie możecie się więc zająć dziećmi zaniechanymi przez rodziców, ale nie skierowanymi do was przez sąd...?

— No nie. Nie jesteśmy placówką charytatywną. Niestety, obiady mamy ściśle wydzielone. Nawet jak byśmy chcieli, nie możemy pomóc wszystkim.

● Czyli ci, którzy do was trafiają, mogą mówić o pewnym szczęściu. Ktoś zawsze pomoże przy odrabianiu lekcji, da obiad. Są uprzywilejowani...

— Tak tego bym nie powiedziała. Kiedyś na przykład przyszedł do nas ojciec jednej z dziewcząt i chciał ją zabrać. Powiedział, że u niego w domu też jest telewizor. też może się bawić, a jedzenie zawsze dostaje. Jednak ona przychodziła do nas nadal, ponieważ, jak powiedziała, tu jest inna atmosfera. I to jest sens naszej pracy, i o to chodzi, a nie o obeirzenie królika Buesa.

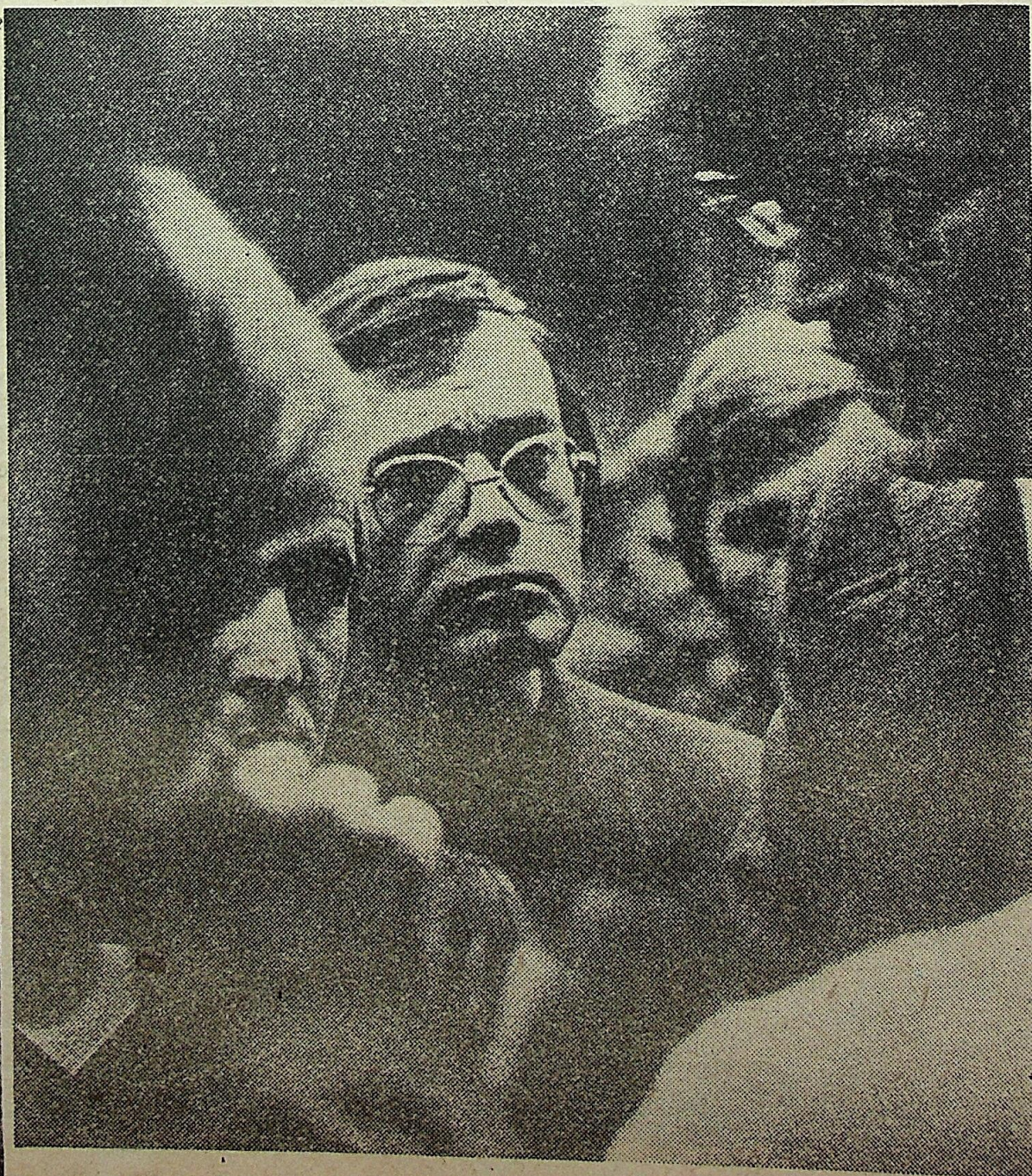
● Wszystko więc jest udane. Dzieci chętnie do was przychodzą, słowem praca bez zgrzytów i nerwów...

— Nie jest tak zawsze. Mniej kłopotów wychowawczych mamy z młodzieżą pozbawioną należytej opieki ze strony rodziców, których albo nie mają w ogóle, albo pozbawiono ich władzy rodzicielskiej. Natomiast jak przyjdzie powiedzmy chłopak już karany, musimy strasznie uważać. Często rece nam onadają, ciężko jest się opanować.

● Czy jest to dla was najgorsze, że znajduje się ktoś taki, który nie zamierza was słuchać i nie można go przekonać?

— To jest ryzyko naszej pracy i z tym należy się liczyć. Bardziej utrudnia nam życie pisanie rozmaitych sprawozdań. Co gorsze, liczą się tylko pozytywne, a tak u nas — jak wcześniej zaznaczyłam — przecież nie zawsze jest.

● Dziękuję za rozmowę.



Fot. Archiwum

Wcale nie miała część parających się zawodowo piórem uznać teraz, że najlepiej pisać tak, aby nie drażnić. Po-
minacjach do tytułu „Mister Publiczności”, kiedy to trzeba zabiegać, przymilać się, lasić już nie za przysłowiowy
kawałek kielbasy wyborczej, lecz za czyste, abstrakcyjne względy. Windując dziennikarza wysoko na piedestale spo-
Tak, jakby zawód dziennikarski — będąc społecznym — miał zasadać swój autorytet na przypochlebianiu się
ludziom

CO POLAK POTRAFI?

A te bardziej gorzkie słowa i opinie
niech sobie formułują ci, co to „szczekają,
a karawana idzie dalej”. Dobrze, jeśli tam
nie wstawia sobie bliskiego etymologicz-
nie słowa — karawan. Czyli konduktu
naszych marzeń i oczekiwań o zasobnym
kraju, uśmiechniętych dziewczynach, do-
rodnych chłopach, pykających z fajeczki
staruszkach — słowem kraju, który cieszy
się uznaniem i prestiżem w świecie.

Przykro, ale znowu nie mogę się zapisać
do konkursu o tytuł „Mister Publiczności”.
Zatem nie będę zabiegał o względy, przy-
najmniej o względy tych, którym się zda-
je, że aby tak dalej, bo im dalej tym gor-
zej, a dla nich lepiej... Jak każdemu pi-
szącemu zależy mi na ocenach ludzi, lecz
tych, którzy potrafili nie pchać owej ka-
rawany w strefy głodu, lecz ku stabiliza-
cji, co wcale nie stoi w sprzeczności z po-
jęciem rozwoju...

Nieobce mi jest zainteresowanie tym, co
inni mówią i piszą o nas i o naszym kra-
ju. Bola i drażnią kpiny jednych, pobu-
dza do myślenia zatroskanie innych. Zale-
dnie kilkanaście miesięcy temu kraj
wzdłuż i wszerz upstrzony był hasłami:
„Polak potrafi”. Cóż, można mieć sto za-
rzutów do stosowanych w przeszłości prak-
tyk tak zwanej propagandy wizualnej, nie
sądzę jednak, aby owe hasło było tak głu-
pie czy kompromitujące jak to niektórzy
w dniach Sierpnia usiłowali wywodzić. Su-
gerowali nawet, że obraża to społeczeń-
stwo, nasze najintymniejsze odczucia i am-
bicje, bo wypływa niby z kompleksów...
Ze niby taka ksenofobiczna mentalność
cechuje postkolonialne społeczeństwa.

Być może, iż ci krytycy wierzyli innemu
hasłu tejże propagandy; jaką to stanowi-
my dziesiątą potęgę przemysłową świata.
Obecnie zaś znikły — przynajmniej w
większości — uwiaczające hasła; ale tak
zwana naga rzeczywistość odsłoniła nam
właściwe miejsce w międzynarodowych
tabelach. Problemami, potencjałem, nie-
spójnością gospodarki i jej regresami, w
odstępie zaledwie kilku miesięcy, kwalifi-
kujemy się do tej grupy krajów, w któ-
rych owe społeczno-gospodarcze niedomogi
sa charakterystyczne i właściwe do... Trze-
ciego Świata.

Z elegancją właściwą ekspertom wy-
kształconym w uczelniach Oxfordu, Bosto-
nu, Harvardu i Paryskiej Szkoły Admini-
stracji przyznają oni, że nasza gospodarka
nosi znamiona kraju rozwijającego się z
grupy Trzeciego Świata, lecz o jakże ol-
brzymich, o zarazem drżących możli-
wościach.

Nie bez powodu wspominałem na po-
czątku o takiej obecnie konieczności pisa-
nia przez ludzi pióra, aby nie schlebiać
taniom gustom i złym oczekiwaniom w sty-
lu, że my jakoś, ot, tak sobie, z piątku
przez wolną sobotę i niecodzień do ponie-
działku — wyjdziemy z tych kłopotów,
marazmu i wciąż narastających frustracji
społecznych.

Jak wielu, którzy mają możność prze-
glądania tego co o nas piszą inni, boli mnie
kiedy oglądam satyryczne rysunki w pi-
smach zachodnich, kpiące z polskiej gospo-
darki, z naszego poczucia odpowiedzialno-
ści, z ponoć zakodowanej w nas niechęci
do pracy i nieustannej pasji oo poszerza-
nia samowoli. Odczuwam goręć, jednak
jak każdy rozumiem, że nigdy nie mieli-
śmy i mieć nie będziemy wszędzie przyja-
ciół. Nie było tak nawet wtedy, gdy nasi
prezentowali się za granicą ze sztandarami
z wyhaftowanym hasłem „Za naszą i Wa-
szą wolność”. Czuje jednak ból wewnętrz-
ny i podwójne rozgoryczenie, kiedy to sa-
mi z własnej woli prezentujemy się swia-
tu jako wymagający caritasowego wspar-
cia i zebracy o cień łaskawego uśmiechu
czy łyżkę soczewicy. Nic tu nie jest po-
wiedziane na wyrost. I wcale w tym proce-
su nie mam na myśli tylko owych szczebli
proszalnych komisji różnych szczebli
udających się za granicę po kilkadziesiąt,
kilkaset ton kurezat. masła, miasa... nie
tylko

Czymże różniła się z jesieni tamtego ro-

ku prosba ówczesnego naszego premiera do
bratnich krajów socjalistycznych o pomoc
żywnościową od apelu wystosowanego
przez przywódców ośmiu krajów tak zwa-
nego Sahelu do uprzemysłowionych krajów
świata? Cytuję wyjątek z tego wezwania:
„Ministrowie rolnictwa Czadu, Gambii,
Górnej Wolty, Mali, Mauretanii, Nigru,
Senegalu i Wysp Zielonego Przylądka za-
apelowali o pomoc w skali międzynarodo-
wej, która umożliwiłaby im stworzenie za-
pasów odpowiadających trzymiesięcznym
potrzebom tego regionu. Bez tej pomocy
grozi im głód”.

Sam jestem synem chłopca i przeważają-
cą część swoich zainteresowań zawodo-
wych poświęcam sprawom wsi. Ów je-
sienny apel premiera PRL odczułem oso-
biście, tak jak miliony rolników, niczym
policzek. Zresztą powtórzyłem tę opinię
publicznie przed ludźmi odpowiedzialnymi
za polskie rolnictwo.

Podobnie odczułem informację wyczyta-
ną w prasie polonijnej. Znalazłem tam re-
lację o pobycie w Stanach Zjednoczonych,
goszczącego przez Kongres Polonii Amery-
kańskiej mecenasa Gryszkiewicza z Gdań-
ska występującego z upoważnienia „Soli-
darności”. W akompaniamencie prowadzo-
nej — z iście amerykańskim rozmachem
kampanii propagandowej pan mecenas za-
biega w publicznych kwestach o zebranie
środków na zakup medykamentów i narzę-
dzi, zwłaszcza chirurgicznych, w ramach
pomocy dla krajowej służby zdrowia, bo-
wiem „oto do czego tam doszło”. To zna-
czy u nas. Nie znam mecenasa Gryszkie-
wicza i nie znam pobudek jego inicjatywy.
Widzę jednak — przynajmniej z relacji
prasy polonijnej — w jakiej tonacji jest
owa kampania prowadzona. Chodzi o szu-
kanie solidarnego wsparcia „dla kraju gnę-
bionego przez komunistów”...

Być może wśród narzędzi chirurgicz-
nych, które zakupi mecenas znajdują się
również te, które przez wiele lat podbija-
ły rynki światowe, a przynajmniej miały
uznanie wśród chirurgów w krajach za-
chodnich, a pochodzily z... „Chify”. Gdzie
i co to jest? — Zakłady Sprzętu Medycz-
nego „Chifa” koło Nowego Tomysła.

Właśnie w ostatnich tygodniach zakłady

musiały znacznie ograniczyć wyrób narzę-
dzi chirurgicznych, bo — jak to umiemy
ładnie tłumaczyć — zawiedli kooperanci.
Mówiąc po ludzku — zmniejszyła się do-
stawa do zakładów stali szlachetnych. Mi-
mo że w produkcji tejże stali byliśmy zno-
wu gozień w pierwszej dziesiątce na świe-
cie. Banalne, ale nie będę tu tłumaczył,
dlaczego to w ostatnich tygodniach pogor-
szyły się warunki wytwarzania nie tylko
w stalowniach i walcowniach.

A może jednak tamto hasło „Polak po-
trafi” wcale nie było takie głupie? Może
tylko je zmienić na pytanie: „Co Polak
potrafi?” Ano dużo, i tu u nas, i w innych
częściach świata. Tak, jak chociażby ów
mecenasa...

Kiedyś Adam Sarapata — socjolog — w
swoim szkicu o prestiżu społecznym jedno-
stki, grupy, narodu pytał: Co decyduje o
miejscu jednostki lub grupy w społecz-
stwie? O miejscu w zakładzie pracy i po-
za zakładem? W społeczności lokalnej, kra-
jowej, międzynarodowej, w towarzystwie,
w rodzinie? Co decyduje o tym, jak jed-
nostka ocenia swoją własną pozycję spo-
łeczną? Czym jest poziom wykształcenia,
przynależność społeczna, przynależność or-
ganizacyjna, dochód, wydajna praca, za-
wód, talent, spryt, szczęście? Do tych py-
tań socjologa dodałbym jeszcze jedno.
Właśnie to: „Co Polak potrafi?”

Niech za mnie odpowie Czesław Miłosz
strofą ze swego „Traktatu Moralnego”:

„Pośród żarcików, anegdotek,
Szlachecki wspominając miodek,
Chyli się Polska w trudne czasy
Przed bóstwem wódki i kielbasy.
I przed płaczami, i po płaczach
Po prasłowiańsku się zatacza,
I z czkawką licząc swe ubóstwo
Racji do chluby widzi mnóstwo”.

Właśnie. A może rzeczywiście odpowie-
my sobie w końcu na pytanie, tak, jak to
ktoś kiedyś proponował, przy podpisywa-
niu Porozumień Gdańskich, jak rodak ro-
dakowi: Co Polak potrafi? Bez cudzysło-
wu.

SZCZEPAN ŁAWNICZAK



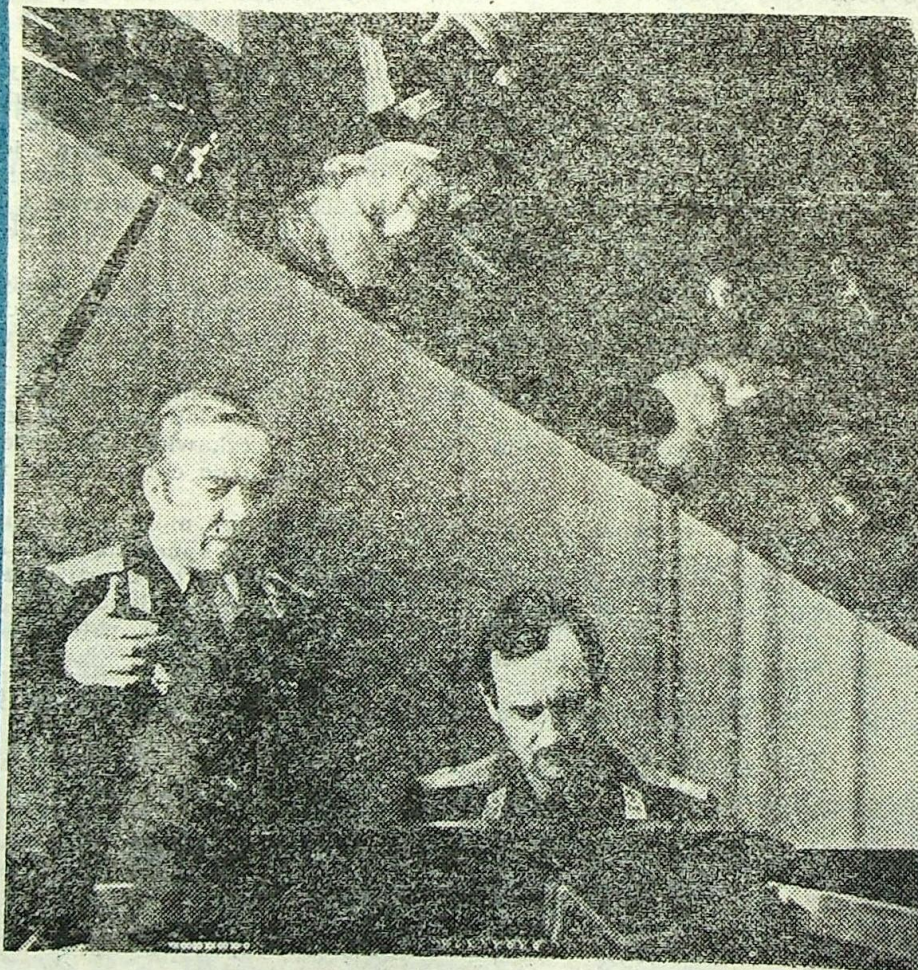
Fot. Krzysztof Raczkowski



Solista orkiestry Wiktor Panczenko.



Chór i orkiestra Zespołu Pieśni i Tańca PGWAR. Śpiewa Władimir Artiomow.



Od lewej: dyrektor artystyczny zespołu Wiktor Paramonow, obok chórmistrz Władimir Artiomow.



Perkusista Walerij Nadiocha.



Ognisty „Taniec konarmiejski” podoba się pod każdą szerokością geograficzną.



Żartobliwy, ludowy taniec rosyjski „Wokół harmoszki”. Solista Alina...

JĘZYK MUZYKI



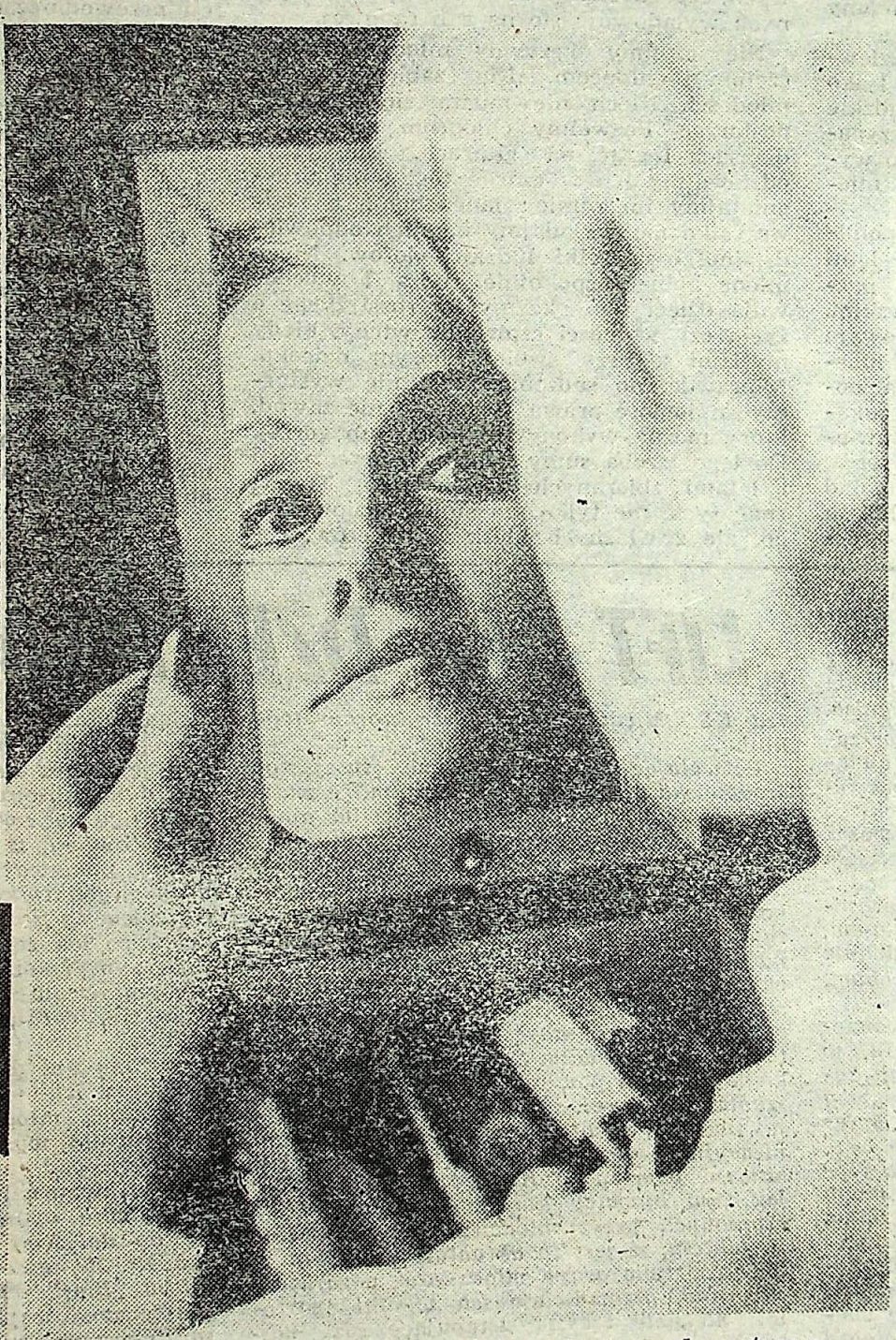
adimorow, dyryguje Wiktor Paramonow.



wa Walerij Kuczyński.



Alexander Brandikow.



Solistka baletu Galina Nadiocha na pięć minut przed występem.

KOLUMNY 10—11 PRZYGOTOWALI DZIENNIKARZE Z GAZETY CODZIENNEJ PÓŁNOCNEJ GRUPY WOJSK ARMII RADZIECKIEJ.

★ **ЗНАМЯ ПОБЕДЫ**

ZDJĘCIA: IGOR POTIOMKIN
TEKST: OLEG GRISZENKOW

Poznajcie się: Zespół Pieśni i Tańca PGWAR. Tak nazywa się ten niezwykle wojskowy pododdział. Powstał ponad trzydzieści lat temu zespół zajmuje poczesne miejsce w twórczości artystycznej Armii Radzieckiej. To zrozumiałe; trudno sobie wyobrazić dzisiejszego żołnierza bez dobrej piosenki, bez ognistego tańca. I oto dlaczego artyści w mundurach cieszą się sympatią całej armii.

Zespołem PGWAR kierowali znani mistrzowie radzieckiej sztuki. W różnych okresach pracowali tu: W. Masłow, G. Koposow, A. Iljin, G. Kolyszkin, A. Nowikow i P. Wierszynin. Zostawili w zespole część swojej osobowości. Spowodowali, że skrzystalizował się artystyczny profil zespołu. Ze ma on swój styl. Ze jest popularny i lubiany.

Dzisiejszy zespół to chór, orkiestra i grupa baletowa. Wspólne kierownictwo nad pracą całego tego — jeśli się tak można wyrazić — mechanizmu sprawuje zasłużony artysta Azerbejdżańskiej SRR major Wiktor Paramonow. Sekundują mu: chórmistrz Władimir Artiomow, dyrygent (sierżant) Aleksiej Koczajło oraz baletmistrz Aleksander Brandikow. Ich wspólny trud odznacza się artystyczną konsekwencją, która swój wyraz znajduje w produkcjach zespołu.

Nieraz już podkreślano zasługi Zespołu Pieśni i Tańca PGWAR w dziele patriotycznego, internacjonalistycznego i estetycznego wychowania żołnierzy. Przedstawiając najlepsze utwory muzyczne i choreograficzne, zespół przyczynia się do popularyzacji radzieckiej kultury. Działalność artystyczna ściśle związana z wojskiem, znajduje gorące uznanie u żołnierzy. To dowód, że każda idea można wyrazić muzyką i tańcem...

W zespole spotkać można przedstawicieli wszystkich narodowości Kraju Rad. To znajduje swój wyraz w repertuarze. Przemyślany od początku do końca program koncertowy ściśle wiąże się z tradycją i dniem dzisiejszym armii; pokazuje wszystko co najlepsze, charakterystyczne dla tego wielonarodowościowego kraju.

Wielką popularnością u widzów cieszą się niezmienne występy zasłużonego artysty Białoruskiej SRR, laureata Nagrody Komsomolu Białorusi Walerija Kuczynskiego i zasłużonego artysty Ukrainiejskiej SRR Jurija Koczenowa. Gorące brawa zbierają także soliści baletu: Nina Bieriezowska, Walentina Ławrientiewa, Ludmiła Czumis i Aleksander Brandikow. Wspaniałą techniką, precyzją i mistrzostwem odznaczają się klarneciści Giennadij Budriugow i Nazim Alijew, skrzypkowie Aleksander Usynin i Tofik Alidżanow, akordeonista Siergiej Własienko, perkusiści Walerij Nadiocha, żeby wymienić tylko niektórych.

Zespół Pieśni i Tańca PGWAR często występuje przed polską publicznością. Jego występy oklaskiwali widzowie Warszawy, Łodzi, robotnicy Krakowa i Wrocławia, metalurgowie Poznania, rolnicy Opolszczyzny, studenci i młodzież Olsztyna, żołnierze i oficerowie licznych garnizonów Ludowego Wojska Polskiego. Od początku swego istnienia zespół artystyczny PGWAR dał już blisko 2 tysiące koncertów przed polską publicznością. Ale rzecz, oczywiście, nie w cyfrach. Najważniejsze, że wszystkie te występy mają wielkie znaczenie dla umacniania radziecko-polskiej przyjaźni i współpracy braterskich armii. Zespół został nagrodzony srebrnym medalem „Za osiągnięcia w kulturalnej współpracy między PRL i ZSRR” oraz „Złotą Honorową Odznaką TPPR”.

W roku ubiegłym, w związku ze 110 rocznicą urodzin Włodzimierza Iljicza Lenina i 35-leciem zwycięstwa nad faszyzmem, Zespół Pieśni i Tańca PGWAR przygotował trzy nowe programy koncertowe. Uczestniczył także w festiwalach: Zespołów Artystycznych Wojska Polskiego (gdzie otrzymał dyplom) oraz Muzyki Rosyjskiej i Radzieckiej w Ładku Zdroju.

Artyści PGWAR utrzymują ściśle związki z Centralnym Zespołem Artystycznym Ludowego Wojska Polskiego i Wojskowym Zespołem Estradowym Śląskiego Okręgu Wojskowego. Często razem koncertują.

W tych dniach zespół kończy pracę nad nowym repertuarem poświęconym zbliżającemu się XXVI Zjazdowi KPZR oraz 63 rocznicy powstania Armii Radzieckiej i Floty Wojenno-Morskiej. Sądząc z atmosfery, w jakiej przebiegają próby, należy przypuszczać, że kolejne spotkanie z Zespołem Pieśni i Tańca PGWAR będzie interesujące i niezapomniane.

Pewnego razu w parny, gorący dzień, jechałem samochodem na rozprawę sądową do małego, dosyć odległego miasteczka. Przed wyjściem z wozu z dużą przykrością włożyłem marynarkę, zawiązałem krawat. W sądzie wszak nie wypadało pokazywać się w koszuli. Na korytarzu stwierdziłem, że do rozprawy pozostało jeszcze kilkanaście minut. Usiadłem w najdalszym kącie, cieszyłem się chłodem grubych poklaszornych murów, odpoczywałem.

Raptem drzwi sekretariatu gwałtownie się otworzyły i stanęła w nich bardzo młoda dziewczyna w króciutkiej, wydekoltowanej sukience (była wówczas epoka mini). Jeszcze w progu kończyła z kimś rozmowę, rozległ się jej srebrzysty śmiech i lekkim krokiem przeszła przede mną pokazując zgrabne, opalone nogi. Jaką ładną mają protokolantkę — pomyślałem.

Po chwili wywołano moją sprawę. Wszedłem do sali i zaskoczony zobaczyłem, że dziewczyna siedzi za sędziowskim stołem w todze i łańcuchu na szyi. Tylko biretu nie miała. Może zburzyby długie jasne włosy?

Zaczęła się rozprawa. Pani sędzia prowadziła ją poprawnie, chociaż wydawało mi się, że myślami jest gdzieś daleko. Z mojego długiego i nieco zawilego wywodu (ta sprawa nie należała do łatwych) zrozumiała, że może powołać biegłego i sprawę odroczyć. Zrobiła to natychmiast, nie kryjąc zadowolenia. Posiedzenie sądu w tym dniu zakończono.

Wracałem do domu tą samą, rozgrzaną asfaltową szosą. Przyznaję — jechałem z mieszanymi uczuciami. Niby wszystko w porządku. Moje wnioski zostały uwzględnione. Powinienem być zadowolony. A jednak... A jednak obraz dziewczyny o jasnych włosach dziwnie klócił się z czernią togi i powagą sali sądowej. Czy mamy prawo — rozważałem — aby w ręce, a raczej na sumienie takich młodych dziewcząt, które same znają życie jeszcze tylko z opowiadań, wkładać pogmatwane ludzkie losy. Obarczać je obowiązkiem rozstrzygnięcia o winie i niewinności, zmuszać do wyznaczania czasu pokuty i cierpienia mierzonych latami więzienia.

Droga dłużyla się. Stopniowo przypominałem sobie, jak to sam, jako 22-letni chłopiec (wtedy bym tak siebie nie nazywał), zasiadłem za stołem sędziowskim. Potem były dni wypełnione gorączkowym usiłowniem zrozumienia motywów ludzkiego działania i wypełnione lekturą popołudnia — w książkach bowiem szukałem odpowiedzi na pytania, które stawiało mi życie. I jeszcze te skurcze serca, kiedy po gwałtownym przebudzeniu nad ranem wydawało mi się, że popełniłem błąd, omyłkę, za którą będzie cierpiał nie-

KIJ W MROWISKO

winny człowiek. I ta paraliżująca naturalne młodościowe odruchy, ciągła kontrola swojego postępowania, żeby nie okazać swojej niepowagi, swojego sześcioletniego wieku. Po tych obserwacjach i doświadczeniach wciąż powracam w myśli do nurtującego mnie pytania:

Czy naprawdę musimy obarczać młodych, wchodzących dopiero w życie ludzi taką odpowiedzialnością? Czy powinni pełnić funkcje sędziów młode kobiety, które przecież przez wiele lat myślą najpierw o swoich chłopcach, później o urządzeniu mieszkania, rodzą i wychowują dzieci, a pracę w sądzie traktują niejednokrotnie jako zajęcie uboczne, stosunkowo mało absorbujące i nie wymagające uzupełniania wiedzy zawodowej? Zmęczone i nieobecne myślami ileż to razy traktują ludzi — przynajmniej nieraz przestępców: bandytów czy złodziei, ale przecież LUDZI — jak przedmioty, pogardliwie i opryskliwie, byle prędzej skończyć i pójść do domu. Jak łatwo potępiają, jak lekko traktują cudze życie. Ileż niewyżytych kompleksów, zawodów miłosnych, niepowodzeń domowych, czy chociażby trudności aprowizacyjnych wyladowuje się na sali sądowej.

Nie czynimy krzywdy młodym dziewczętom i chłopcom. Nie zabieramy im młodości. Niech nie muszą się sztucznie postarzać. Pozwólmy chłopcom chodzić w dzinsach i grać na gitarach. Nie przyodziewajmy ich w czarne togi i nie przynajmniej im ramion łańcuchami, a nade wszystko nie wkładajmy na nich odpowiedzialności za setki ludzkich losów. Niech młode kobiety spokojnie rodzą i wychowują dzieci i nie każmy im rozstrzygać o życiu czy wolności człowieka wtedy, kiedy myślami są przy swoim chorym dziecku. Naprawdę, do sądenia ludzi nie wystarczy znajomość prawa. Sędzia to nie zawód, który można wykonywać lepiej lub gorzej. Do tego trzeba sumy własnych przemyśleń i latami zbieranych doświadczeń. Trzeba znać życie nie tylko zza stołu sędziowskiego, ale z własnych klęsk i sukcesów, sa-

tysfakcji i upokorzeń. To misja społeczna, którą prawidłowo spełniać mogą tylko ludzie doświadczeni — wybrani spośród najlepszych.

Proponuję więc, aby na sędziów powoływać ludzi doświadczonych. A więc spośród tych prokuratorów, adwokatów, radców prawnych i prawników zatrudnionych w administracji państwowej i gospodarczej, którzy wykazują się nie tylko dobrą znajomością prawa, ale którzy pracą zawodową, działalnością społeczną i życiem prywatnym zasłużyli sobie na uznanie i szacunek społeczeństwa. Niech to będą ludzie dojrzały. Nazwiska kandydatów niechaj opublikuje miejscowa prasa i niech wszystkie partie polityczne, organizacje społeczne i zawodowe, a nawet osoby prywatne zgłaszają swoje umotywowane zastrzeżenia. Pozwólmy, aby o nominacji sędziowskiej zdecydowała komisja złożona z sędziów sądu wyższego, po przeanalizowaniu zebranych opinii i wysłuchaniu kandydatów. Niech wybiorą bez pośpiechu, ale najlepszych. Za to aktowi nominacji nadajmy należyłą opłatę. Niech nowo mianowanego sędziego przyjmie na indywidualnej audycji przewodniczący Rady Państwa (a może już prezydent PRL). Niech przedstawiciele miejscowych władz złożą mu gratulacje. I jeszcze jedno. Przyznajmy wreszcie sędziom należyte wynagrodzenie, takie chociażby, jakie mają wyżsi oficerowie MO. To naprawdę nie jest duża sprawa w skali kraju. Wszak sędziów mamy niewiele ponad trzy tysiące. A to się nam opłaci.

Czuje, że wkładam przysłowiowy kij w mrowisko. Posypią się oburzone głosy. Pewno też zostanie ogłoszony antyfeministą. Nie pochwalać mnie też przypuszczalnie ci, którzy wolą mieć sędziów młodych, słabych i zależnych. Takich, którymi można łatwo manewrować, zmieniając politykę penitencjarną w zależności od własnych potrzeb. Trudno, jakoś to wytrzymam. Sprawa jest przecież zbyt ważna, aby można było milczeć.

JANUSZ CHUTKOWSKI

Z zainteresowaniem przeczytałem artykuły „Lift dla dżentelmenów” (gratuluje autorowi trafnego tytułu) w numerach 2 i 4 „Konkretów”, piętnujące poczynania trenerów sekcji tenisowej KS Miedź Legnica.

W kontekście przytoczonych faktów, zarówno w „Konkretach”, jak i w „Sztandarze Młodych”, a także opierając się na reperkusjach dobiegających z legnickiego światka tenisowego nie ulega wątpliwości, że mamy do czynienia z kaperownictwem i to w najgorszych jego przejawach, gdyż dotyczącym zaledwie 14-letnich zawodników. Mało tego, jak dobrze zrozumiałem, cała sprawa skończy się prawdopodobnie jedynie na „pokiwaniu palcem” osobom, które zawiniły.

Otóż, czytając wypowiedzi osób odpowiedzialnych za stan legnickiego sportu, w tym także za tenis, nie sposób powstrzymać się od wyrażenia paru osobistych uwag dotyczących podnoszonej w artykułach sprawy, a mianowicie:

● nie podzielam stanowiska prezesa Wojewódzkiej Federacji Sportu, który moim zdaniem powinien zająć pozycję arbitralną, wszak tu wcale nie o gratyfikacje pieniężne chodzi. Sądzę też, iż p. prezes doskonale wie, że wyznaczony do rozpatrzenia tej sprawy zarząd OZTZ składa się w większości z aktualnych lub byłych działaczy bądź sympatyków KS „Miedź”, w tym z osób bezpośrednio w sytuację zamieszanych, a to może budzić obawy, iż zaważy na przedstawionych przez nich wnioskach. Jakże odmienne stanowisko prezentuje tu, znający realia tenisa, kierownik Wydziału KFiT Urzędu Miejskiego;

● również nie mogę zgodzić się z opinią urzędników Wydziału KFiT Urzędu Wojewódzkiego, którzy powinni wiedzieć, że i w tenisie nie zawsze dobry trener musi być w pierwszym doborze zawodnikiem; powinien być przede wszystkim specjalistą, a już na pewno powinien mieć kwalifikacje moralne, których, niestety, tak brakowało w ostatnich latach znacznej ilości trenerów w większości dyscyplin naszego sportu;

● nie mogą także wzbudzać zaufania mgliste, wykretnie, zgola nierzeczywiste i w efekcie nieprawdziwe tłumaczenia tak sekreta-

„LIFT DLA DŻENTELMENÓW”

rza KS „Miedź”, jak i instruktorów tego klubu.

Pozwalając sobie na ocenę tutejszego środowiska tenisowego podkreślam, że znam je dość dobrze. Otóż od paru już lat amatorsko uprawiam grę w tenisa, trenując z zawodnikami obu drużyn. Dla zawodników „Miedzi” staram się być surowym weryfikatorem ich tenisowych umiejętności i z tymi — pomimo siwizny na skroniach — na ogół nie przegrywam (nie świadczy to chyba najlepiej o poziomie tenisa w naszym mieście), zaś dla chłopców z MDK tym, od którego mogą się nauczyć sporo z tenisowego abecadła. Stąd też byłem świadkiem zarówno powstania przed trzema laty szkoły tenisowej, jak i pokonywania przez jej twórców ogromu trudności natury organizacyjnej, włącznie z bezskutecznym szukaniem pomocy w KS „Miedź”. Podobnie jak inni bywalcy kortów cieszyłem się z czynionych przez młodzież postępów, zaś za faktem, iż jest to aktualnie najlepsza w województwie grupa młodzików, a zarazem juniorów, przemawiają ich wyniki sportowe, niewiele zresztą ustępujące już najlepszym seniorom.

Przy sposobności słów kilka o pracy sekcji tenisowej KS „Miedź”. Zdumiony byłem, iż w najlepszym dla tej dyscypliny okresie, tj. miesiącach wiosenno-letnich, dwóch instruktorów sekcji tenisowej KS „Miedź” prawie nie prowadziło treningów. Mało tego, nie widziałem ćwiczących z zawodnikami instruktorów jeszcze na trzy dni przed drużynowymi rozgrywkami w maju, co, siłą rzeczy, musiało zaważyć na zajęciu przez ten klub ostatniego miejsca w lidze okręgowej.

Przesiadując natomiast na kortach w tym czasie, ze swoimi chłopcami, mgr Maruniak z MDK, i to — zdaniem ludzi dobrze zorientowanych w sprawach tej dyscypliny — za pobory parokrotnie niższe niż otrzymywał trener „Miedzi” (czyżby to zjawisko było symptomatyczne dla całego naszego sportu?).

Sądzę też, że sekretarz tylko czterosekcyjnego klubu powinien wiedzieć dokładnie jak i ilu zawodników aktualnie uprawia daną dyscyplinę, a szczerząc się walką o II ligę w roku 1979, powinien też być zorientowany, iż do tej walki w ogóle nie doszło, ponieważ tenisiści z powodów znanych chyba tylko klubowi — wyjechali do Gorzowa na rozgrywki eliminacyjne w tydzień po ich zakończeniu.

Byłbym nieobiektywny w stosunku do szkoleniowców KS „Miedź”, gdybym nie oddał im sprawiedliwości. Istotnie od jesieni ub. roku (nie unikam w to, jaki kurs zmuszony był wówczas przyjąć nasz sport), zacząłem ich widywać ćwiczących z porządkującą młodzieżą i myślę, że prędzej czy później wyszkolą sobie zawodników, jednakże pod warunkiem systematycznej i konsekwentnej pracy. Dopiero wówczas przekonają oponentów co do powierzenia im do dalszego szkolenia ukształtowanych już 18-19 zawodników z międzyszkolnego klubu „Ikar”. I taka sądzę winna być płaszczyzna współpracy pomiędzy tutejszymi sekcjami tenisowymi.

Na marginesie czarowania działawy tenisowej drogim sprzętem, nasuwa mi się kolejna refleksja. Otóż nie uczmy zawodników — jeszcze dzieci — wiary w cudowne rakiety czy samogrające naciągi, co na ogół towarzyszy snobizmowi rekreacji i wszystkim nie spełnionym talentom wyczynu, a przyzwyczajmy ich do uczciwej pracy treningowej. Między bajki można włożyć pretensje czołowych w kraju młodzieżowców o to, dlaczego tak mało startują na Riwierze. Są to raczej wypowiedzi ich opiekunów, którzy zapomnieli o tym, że i w kraju, na miejscu, są możliwości nauczania młodzieży silniej serwować czy też dokładniej odbijać piłki tenisowe.

BRONISŁAW BARAN

były reprezentant Polski
sędzia klasy państwowej
Mistrz sportu

Z prof. dr. Jerzym Szablowskim, dyrektorem Państwowych Zbiorów Sztuki na Wawelu rozmawia Rita Gołębiowska.

NA WAWEL, NA WAWEL...

Wawel, to nie tylko pomnik historii, ale także zabytek, którego nie oszczędza zadruta wyziewami atmosfera nad Krakowem. Dymy Nowa Huta, elektrociepłownia i huta aluminium w Skawinie, ciepłownia w Łęgu. Dochodzą nad Kraków zanieczyszczenia z Górnego Śląska. Na samej Starówce kopci 50 tysięcy pieców i 100 lokalnych kociłowni. W Krakowie pod wpływem związków siarki, fluoru, cynku i ołowiu z wodą kruszeje kamień. Nawet kruszeje złoto na kopule Kaplicy Zygmuntowskiej!

— Musieliśmy nawet ograniczyć liczbę zwiedzających, bo doszło do tego, że przez Wawel przewijało się dziennie 5—10 tysięcy osób, co poważnie zagrażało bezpieczeństwu obiektów zabytkowych. Mimo to, mamy olbrzymią frekwencję: rocznie do miliona turystów. Wawel jest pokazywany również gościom z zagranicy — przyjeżdżają dostojnicy państwowi, naukowcy, dyrektorzy placówek muzealnych, uczestnicy różnego rodzaju sympozjów i festiwali.

● **Od czego, profesorze, proponuje pan rozpocząć zwiedzanie Wawelu?**

— Od wystawy „Wawel zaginiony”. To najmłodsza wystawa wśród pięciu stałych ekspozycji i stanowi jakby wstęp do historii zabytku. Oglądamy Wawel nieznany, odsłonięty dzięki wykopaliskom archeologicznym — pozostałości przedromańskie, wczesnogotyckie i wczesne renesansowe, m.in. rotundę z końca X wieku, mur obronny zwany murem Konrada Mazowieckiego, fragmenty pałacu Kazimierza Wielkiego, fragmenty kuchni z czasów Zygmunta Starego oraz rzemiosło artystyczne — w tym szczególnie piękną kolekcję barwnych kafli gotyckich i renesansowych, jedyną w Polsce.

● **Wystawa jest rzeczywiście bardzo efektowna, ale wszyscy idą do komnat i do Skarbca.**

— Tak dyktują bowiem serce i przyzwyczajenie. Poszczególne działy na Wawelu staraliśmy się urządzić wedle innej zasady ekspozycyjnej. W salach I i II piętra w skrzydle wschodnim i północnym zostały odtworzone historyczne wnętrza z okresu odrodzenia i wczesnego baroku (tam właśnie niegdyś mieściły się komnaty królewskie i sale reprezentacyjne). Unikaliśmy przeładowania, próbowaliśmy stworzyć raczej symbole, wewnątrz poprzez wybór stylowych elementów mebli, obrazów, tkanin, ceramiki.

Skarbiec Koronny od XVI wieku mieścił się we wnętrzach gotyckich na parterze w północnym skrzydle Zamku. I dziś można tam oglądać cenne pamiątki, zachowała się część obiektów, które pochodziły z dawnego Skarbca — mianowicie: Szczerbiec, miecz, którego użył Władysław Łokietek do swej koronacji w 1320 roku i który pełnił funk-

cję koronacyjną aż do upadku państwowości, miecz Zygmunta Starego do pasowania rycerzy, chorągiew koronacyjna z czasów Zygmunta Augusta, sandały koronacyjne tegoż króla i liczne wyroby złotnicze. Gdy przywożem w 1959 roku Skarbiec, rewidykowany z Kanady, te pamiątki mogły wydawać się czymś skromnym w porównaniu z dawnym Skarbem Koronnym, którego zasoby znamy z przekazów archiwalnych. Skarbiec przechodził jednak bardzo burzliwe koleje losu. Najbogatszy był po śmierci ostatniego z Jagiellonów — król Zygmunt August zapisał bowiem Rzeczypospolitej w testamencie bogate zbiory własne, a wśród nich cenną kolekcję arrasów. Potem przyszyły różne potrzeby i klęski i Skarbiec zaczął topnieć. W czasie „potopu” szwedzkiego szczęśliwie ocalał, Szwedzi nie dostali insygniów królewskich, które jednak w wiek później zrabowali Prusacy. Na rozkaz króla pruskiego — Fryderyka Wilhelma II insygnia królewskie zostały wywiezione i w 1809 roku w Królewcu przetopione na złoto (znajdowało się wśród nich pięć złotych koron, w tym najstarsza Kazimierza Wielkiego, cztery berła i pięć jabłek). W latach 20 naszego stulecia zrekonstruowano częściowo Skarbiec z odzyskanych zabytków. Wybuchła II wojna światowa i skarby wawelskie powędrowały do Kanady, skąd powróciły dopiero w 1959 roku.

Obok Skarbca mamy Zbrojownię zamkową. Liczy ona ponad tysiąc eksponatów, znajdują się tu piękne polonica. Z kolei piąta wystawa na Wawelu pn. „Wschód w zbiorach wawelskich” jest dosyć osobliwa. Powie ktoś: przecież nigdy tak nie było, żeby w salach stały rozstawione namioty. Mamy już jednak na Wawelu tyle sal urządzonych jako wnętrza, że kiedy po wojnie zostało odnowione skrzydło zachodnie, przyszła mi do głowy myśl, aby wyeksponować tu zbiory orientalne — namioty tureckie i perskie z XVII i XVIII wieku (a mamy znakomitą kolekcję!), wschodnie kobierce, chorągwie, buńczuki, rzędy na konia. Większość tych pamiątek wiąże się z osobą Jana Sobieskiego. Namioty przechowywały się w czasie wojny na Wawelu, były zwinięte i starannie ukryte.

Wawelskie zbiory nie szokują ilością, lecz mają wysoką wartość historyczną — dla nas szczególnie — jako pamiątki narodowe. Naszą „specialité” stanowią przede wszystkim unikalna kolekcja arrasów flamandzkich z połowy XVI wieku, którą zamówił dla Wawelu w najlepszych warsztatach brukselskich król Zygmunt August; obok tego włoskie meble renesansowe i właśnie zbiory orientalne.

● **Panie profesorze, można chyba powiedzieć, że Wawel-muzeum kontynuuje działania podjęte przeszło pół wieku temu po okresie niewoli. Pamięta pan tamten Wawel swojego dzieciństwa?**

— Ojciec zaprowadził mnie pierwszy raz na Wawel, gdy miałem bodaj 6 lat. Potem już jako gimnazjalista często odwiedzałem wzgórze wawelskie i wiele rysowałem. Wawel był wtedy zniszczony — sale bez tynków, bez posadzek — to pozostało po koszarach austriackich i lazarecie. Austriacy opuścili Zamek w 1905 roku i od razu powstał Krajowy Komitet Restauracji Zamku Królewskiego na Wawelu. Wawel był stopniowo restaurowany, odbudowę kierował Adolf Szyszko-Bohusz. Pierwsze wnętrza były gotowe w latach 1917—18. W okresie międzywojennym nie wszystkie sale były jeszcze udostępnione, tylko w skrzydle wschodnim mieściła się ekspozycja, w skrzydle północnym znajdowały się apartamenty prezydenta. Inne zresztą były wówczas metody ekspozycyjne: kierowano się bardziej estetyką aniżeli względami historycznymi. Po wojnie, na podstawie źródeł pisanych, staraliśmy się przywrócić dawny wygląd komnat, uwzględniając oczywiście nowoczesne wymogi ekspozycyjne.

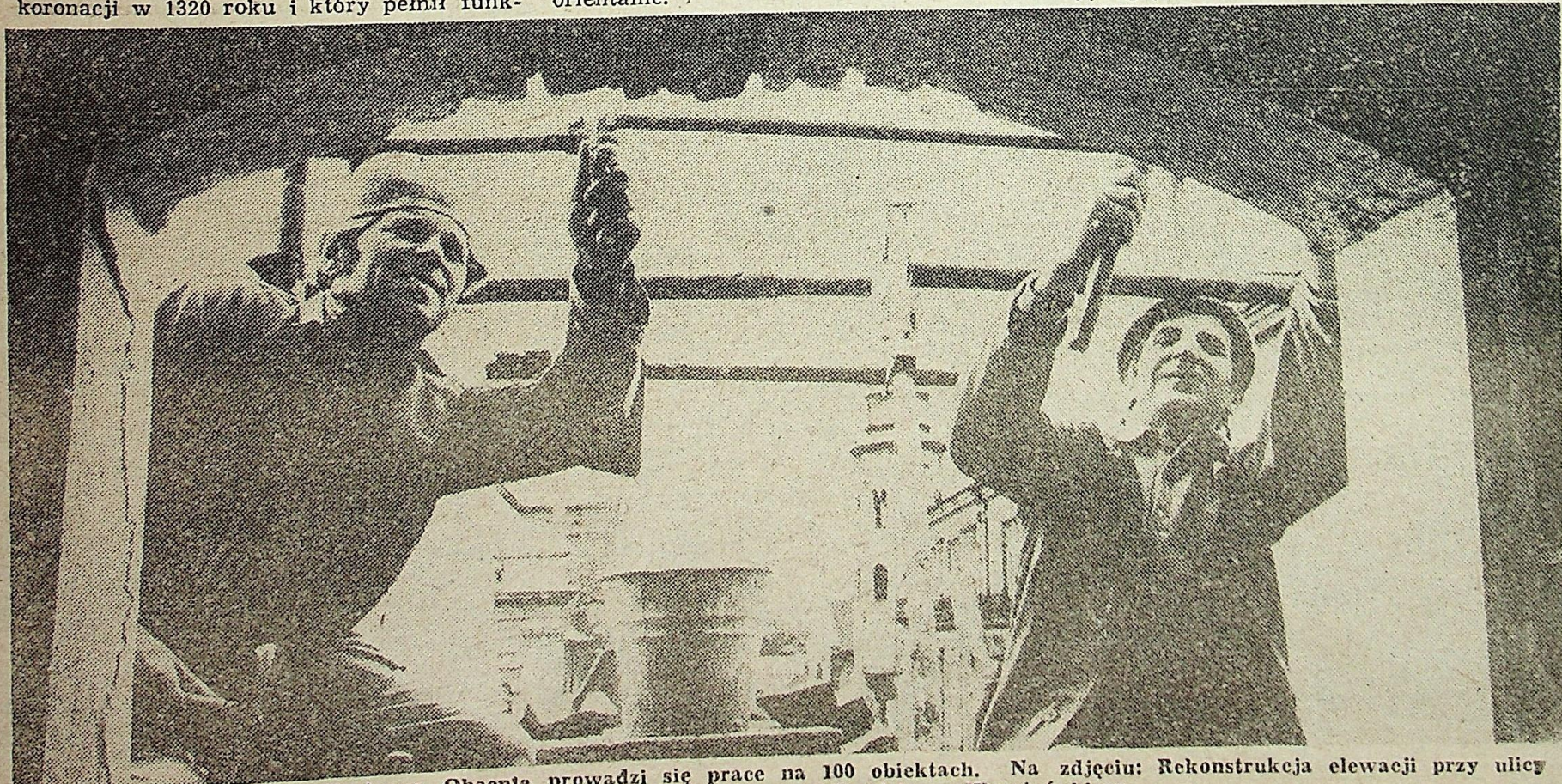
● **Zbiory na Wawelu ciągle się wzbogacają, jak się mają zasoby dzisiejszego Wawelu do muzeum przedwojennego?**

— W ciągu ostatniego trzydziestolecia zbiory wawelskie powiększyły się o jedną trzecią. To dużo. Państwo przeznaczają poważne sumy na zakupy: kupujemy w kraju i za granicą, i to dzieła najwyższej klasy. Kiedy odwiedzam salony „Desy”, mówią żartobliwie: Szablowski urządza polowania... Za granicą interesują nas przede wszystkim polonica i regalia. Mam zgłoszoną całą listę bardzo interesujących zabytków.

I płyną dary — z kraju i od Polonii. Bardzo często, gdy ktoś ma cenną rodzinną pamiątkę, przeznaczają ją na Wawel. Jest to wyraz przywiązania do najdostojniejszego pomnika naszych dziejów.

● **Ostatnio odbierał pan profesor kolejny cenny dar dla Wawelu...**

— Tak, wspólny dar amerykańsko-polski, od rządu amerykańskiego i Polonii amerykańskiej. Wawel otrzymał „kapę” koronacyjną króla Zygmunta Augusta — wszystko wskazuje na to, że jest to właśnie pamiątka królewska: i XVI-wieczna włoska materia w doskonałym gatunku, i wysoka wartość artystyczna tkaniny. Badamy teraz ten nabytek w naszych pracowniach na Wawelu; po konserwacji „kapa” odzyska całą swoją świetność i zwiedzający będą mogli ją oglądać.



Trwa odnowa zabytków Krakowa. Obecnie prowadzi się prace na 100 obiektach. Na zdjęciu: Rekonstrukcja elewacji przy ulicy Kanonicznej 9, w której w przyszłości ma być urządzone Muzeum Stanisława Wyspiańskiego.

Fot. Ireneusz Sochor

„Zwracam się do was z prośbą, abyście przedstawili moją tragedię, jaką przeżyłam w czasie porodu. Nie chodzi mi o to, by kogoś ukarać, ale by zajęto się sprawą kobiet rodzących, by nie doszło więcej do tego, co stało się ze mną. mimo że byłam pod opieką lekarską”.

„NIE ZOSTAŁAM MATKĄ”

Pod opieką lekarską co 58 minut przychodzi na świat w Legnickim kolejne dziecko. Na 9 tysięcy narodzonych w 1980 roku zanotowano 165 zgonów, w tym 77 (najwięcej) w związku ze śmiertelnością okołoporodową.

Dziecko Teresy G. znalazło się właśnie w tej grupie. W liście do naszej redakcji młoda matka stawia jednoznaczne pytanie: Czy musiało do śmierci jej dziecka dojść?

Nie uzurpujemy sobie prawa do rozstrzygania sporów specjalistycznych. Nie staramy się dociekać, czy przypadek Teresy G. to błąd w sztuce lekarskiej, czy też przypadek losowy. W oparciu o konkretne fakty staramy się prześledzić przeżycia autorki listu i zrozumieć, dlaczego młoda matka pisze o winie tych, którym tak bardzo zaufała.

Trop prowadził przez mnóstwo „papierków” — orzeczeń, skierowań, zaświadczeń. „Papierki” ułożone w porządku czasowym nabierają szczególnego sensu.

Początek miał miejsce 20 grudnia ubiegłego roku. Teresa G. otrzymała od specjalisty ze spółdzielni „Vita” skierowanie na oddział położniczy Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego w Legnicy, w związku z wysoką ciążą i podejrzeniem o żółtaczkę polekową. Tego samego dnia była na izbie przyjęć. Tu podejrzenia potwierdziły się, ciążą skierowano do Szpitala Zakaźnego przy ulicy Nowotki. Teresa G. zdawała sobie sprawę, że została w 9 miesiącu ciąży pozabawiona właściwej opieki. No ale skoro lekarze uznali, że tak będzie najlepiej?

Od 23 grudnia do 5 stycznia tego roku leżała w szpitalu zakaźnym. Jaki był przebieg leczenia, w jakim stopniu zapalenie wątroby mogło wpłynąć na płód? Na pytania te nie możemy odpowiedzieć, gdyż lekarz, pod którego opieką przebywała pacjentka przez 12 dni, odmówił nam udzielenia informacji. Opieramy się jedynie na relacjach pacjentki: „przez ten czas czułam się dobrze, konsultacji z ginekologiem nie było, widocznie nie istniało niebezpieczeństwo...”

— Byłam w pracy, dostałam telefon od córki — mówi matka Teresy G. — dzwoniła czwartego wieczorem, koło dwudziestej. Mówiła, że ma bóle, pytała co robić. Powiedziałam, żeby mówiła lekarzowi, żeby domagała się, aby ją przewieźli na porodówkę.

Ona sama nie była pewna czy „to” już się zaczęło. Wahala się, pomimo iż przez cały okres ciąży była pod kontrolą lekarską, to w „tej” chwili nie wiedziała, jak się zachować. Czy zgłosić lekarzowi, czy jeszcze nie. Bóle nasilały się, zgłosiła o nich.

— O dwunastej w nocy wystąpiły bóle partu dołu i bóle krzyżowe. Wszystko przemawiało za wstąpieniem akcji porodowej. Wydawało mi się, że te bóle nie są typowo porodowe, a ponieważ był to dziewiąty miesiąc, skierowałam pacjentkę na porodówkę — mówił lekarz dyżurny.

Przed pierwszą przewieziono Teresę G. do szpitala porodowego przy Jaworzyńskiej.

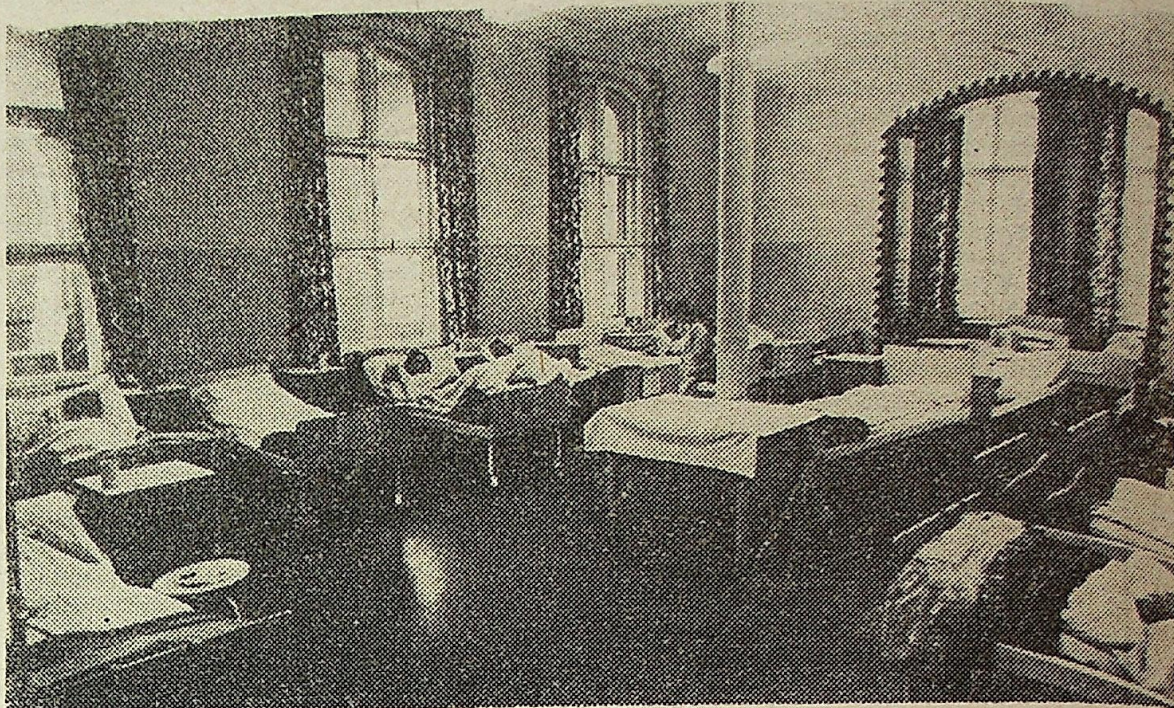
— Czekanie na lekarza trwało może z godzinę. Zbadał mnie i powiedział, że to jeszcze nie są bóle porodowe, że jeszcze poczuje ruchy dobre, że to może potrwać 3 godziny, albo 3 doby. Potem dał kartkę i znów odesłano mnie na zakaźny.

W kartce-orzeczeniu ginekologa dyżurującego sześć słów: akcja porodowa nietypowa, brak tętna płodu.

A Teresa G. nie mogła w tym chaosie zrozumieć jednego — dlaczego ją tak przesyłano. Bóle nasilały się. Wciąż mówiono by czekać, czekać do rana na ordynatora, aż przyjdzie i zadecyduje, co począć dalej. Kiedy bolało mocniej, żeby nie przeszkadzać innym chorym, wychodziłam na korytarz, siadałam na stołku, chodziłam, klękałam. Tak było do rana. Po ósmej przyszedł ordynator. Nie zairzał do mnie. Faktycznie nie miał po co. Zlecił siostrze wezwać karetkę.

Znów przewóz, znowu bóle i świadomość, że nie czuć tętna dziecka, że czas bezowocnie ucieka.

W szpitalnej karcie choroby suche i niepełne fakty: pacjentka Teresa G. została przyjęta do szpitala 5 stycznia o godzinie pierwszej dwadzieścia ze skurczami macicy typu przepowiadającego. Stwierdzono podczas przyjęcia ciążę obumarłą. O dziesiątej



Legnicki szpital ginekologiczno-położniczy od lat czterdziestych mieści się w starym budynku, który kiedyś od biedy wystarczał. Dziś trzeba zagęszczać sale...

Fot. Waldemar Sikorski

pięćdziesiąt urodziła dziecko płci męskiej, waga 2800 gram, martwe. Przebieg porodu bez powikłań.

W związku z faktem, iż Teresa G. została przywieziona ze szpitala zakaźnego po przebyciu zapaleniu wątroby, została po porodzie przeniesiona na oddział ginekologiczny. Tym razem znaleziono dla niej miejsce. Co było dalej? — Z chwilą przekazania położnicy na drugi oddział ginekologiczny siostra dyżurna lub lekarz (jeżeli jest w tym czasie na oddziale) otrzymuje informacje o pacjentce i otrzymuje zlecenia. Nie wydaje mi się — twierdzi zastępca ordynatora oddziału — doktor Stanisław Macowicz — aby do pacjentki przez osiem godzin nie zaglądnięto, chociażby z tej racji, że między godziną 16 a 17 jest mierzenie temperatury.

Relacje Teresy G. są jednoznaczne — sprowadzono mnie z pierwszego piętra. Po dłuższych namysłach umieszczono mnie na tej małej sali i oprócz portierki, która przyniosła mi coś do picia, nikt do mnie nie zaglądał do wieczora.

— Przyjechałam o osiemnastej. Teresa leżała jak nieczłowiek. W tym wszystkim. Nieprzyjemnie było do niej podejść i popatrzeć. Z żalu aż mnie dusiło. Wtedy przysła siostra z termometrem. Nie wytrzymałam, zwróciłam jej uwagę: jak ta chora leży? Siostra szybko poszła po bieliznę, po czystą pościel, a ja moczyłam szmatę pod kranem i zimną wodą wycierałam córkę.

W szpitalnej karcie: po czterech dniach pobytu w szpitalu pacjentka została wypisana do domu w stanie dobrym.

A jaki psychiczny był stan Teresy G. Tym razem zwierzenie z autopsji. — Wiem, że nie jestem pierwszą, którą to spotkało. Nie oisalam, by się wyzalić, ale po to, by mój przypadek był jednym z ostatnich. By ktoś się zainteresował sprawą kobiet ciężarnych, kobiet z zagrożoną ciążą, by przypatrzone się warunkom, w jakich te kobiety rodzą.

Dla Teresy G. pobyt w szpitalu dla kobiet jest koszmarem, nie tyle z powodu nieostatecznej opieki po poroku, ile z powodu nie znalezienia w nim miejsca w tym najgorętszym okresie, co być może miało wpływ na finał. Nie mamy prawa do definitywnych rozstrzygnięć, mamy prawo do uwag. Najbardziej przejmujące jest to, że przypadek Teresy G. nie spowoduje jakichkolwiek zmian. W szpitalu na Jaworzyńskiej nie powstanie blok septyczny dla ciężarnych „zakaźnych”. Możliwość nadzorowania takich przypadków wciąż będzie niewielka. Są przecież trudności z zapewnieniem pełnej fachowej opieki ciążom „prawidłowym” — nie można uruchomić odpowiedniej aparatury w związku z nadmiernym przeciążeniem sieci elektrycznej, z brakiem dla tej aparatury odpowiednich pomieszczeń. Ciężkość — skoszarowanie chorych w 14- i 12-osobowych salach nie sprzyja dobremu samopoczuciu. Warunki sanitarne odbiegające od

norm! Na 56 pacjentek trzy, dwie, czasem jedna toaleta, jedna łazienka. Dzięki staraniom personelu do infekcji jeszcze nie doszło. Nowo budowany szpital to sprawa dwóch, trzech lat. A nawet gdy zostanie wybudowany, czy będzie można zapewnić ciężarnym właściwą opiekę?

W jednym z bardziej „komfortowych”, nowych szpitali — na oddziale ginekologiczno-położniczym w Lubinie brakuje aparatury specjalistycznej. O kardiograf walczono dwa lata. W końcu otrzymno. Jeden aparat — monitorujący jedną pacjentkę. Jaką decyzję podjąć, gdy zdarzy się, że w tym samym czasie trzeba zmonitorować dwie pacjentki?

— Na badania ultrasonograficzne musimy wozic chore do zespołu górniczego. W przypadku łożyska przodującego ryzykujemy. Jeżeli w czasie transportu, na skutek przekładania czy zmian pozycji nastąpi u pacjentki krwawienie, zanim wróci do nas na oddział, jeżeli tętno jeszcze będzie, jeżeli zdążymy w miarę szybko rozwiązać ciążę — to dobrze. Zdarza się czasem, że nie zdążymy — mówi ginekolog-położnik — Grzegorz Grzeszczyk. Nie mamy, mimo iż jesteśmy nowym szpitalem, możliwości badań zagrożonych ciąż. To się wiąże z brakiem zaplecza laboratoryjnego, takiego prawie jakie jest w ośrodkach klinicznych. Dlatego pacjentki powinny przychodzić do nas z pełnymi badaniami zrobionymi wcześniej w poradni. Tymczasem przychodzą bez niczego. My nie wiemy o nich nic. Dlatego zdarza się, że swoim działaniem nie nadążamy za postępem porodu, za postępem powikłań.

Dlatego w dzisiejszych warunkach wykluczyć przypadek Teresy G. oznaczałoby — uzdrowić opiekę nad ciężarnymi kobietami. Roztoczyć nad nimi gęstą sieć działań profilaktycznych, organizować szkoły rodzenia, zapewnić im komfortowe warunki przed i po porodzie.

Kobiety tymczasem przychodzą do porodu smutne, przerażone, rozhisteryzowane. Zdają sobie sprawę, że ten stan psychiczny nie pozostanie bez wpływu na powodzenie akcji porodowej. Ale jaką mają pewność, że „to” odbędzie się bez komplikacji i powikłań. Jaką mają pewność, że w razie zagrożenia pomoc będzie natychmiastowa i skuteczna, gdy obecnie w Legnickim brakuje co najmniej 20 specjalistów-ginekologów. W rejonie działań Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego brakuje 17 położnych, w skali województwa aż trzydziści. Te niedobory kadrowe powodują przeciążenie obowiązkami istniejącej kadry.

Prawdopodobieństwo, że taki czy inny przypadek może wymknąć się spod kontroli lekarza jest więc wciąż duże. Zbyt duże. Dlatego — oby przypadek Teresy G. był ostatnim.

JADWIGA WARDACH

— To wystawicie miasto do wiatru.
— R. Śmiechowski: Faktycznie w ubiegłym roku myśleliśmy, że się uda oddać ten jeden kocioł. Warunkiem był komin. Jak pan widział, po prostu go nie ma. Zakładając, że od wiosny będą robili 10 metrów płaszcza na tydzień to za 5 miesięcy powinien stanąć. Pozostanie jednak jeszcze wymurówka z cegły wewnątrz czyli następne pół roku. Niech pan nie myśli, że jak miasto zwala na mnie to ja na podwykonawców.

E. Półgrabie: „Piecobudowa” weszła w sierpniu. Przyjęli od nas roboty za 3 miliony z 19. Do listopada przerobili 2,5 miliona, bo nie mieli czym robić. Brakowało cementu, miasto nam nie pomogło. Jak już mieliśmy cement, to nasze kruszywo było niedobre. Daliśmy 60 ton cementu do Fabryki Domów, żeby nam zrobili beton, to wróciło mniej, bo tamci też nie mają, więc sobie zachomikowali.

R. Śmiechowski: Na ten rok przyjęli od nas 13 milionów i więcej nie chcą wziąć, bo na tyle mają materiału. Ja nie mam do nich pretensji, bo nie ma czym robić. Jak w grudniu 1979 roku laliśmy fundament pod komin to przez miesiąc zbierałem cement. Miasto jakoś nam nie pomogło. Powołali tylko radę budowy. Przyjeżdżali na budowę, ściskali ręce i to wszystko. Bardzo to przyjemne, tylko że nie o to chodzi. Prawdziwa rada powinna składać się ze specjalistów, a przede wszystkim ludzi, którzy mogą w czymś pomóc. Powinni w niej być dyrektorzy ze zjednoczenia czyli ludzie, którzy mogą załatwić dodatkowe przydziały. A tak to jest tylko parada i nic więcej.

— Roczny poślizg to już chyba wasza wina?

— R. Śmiechowski: W pierwotnych planach mieliśmy budować 48 miesięcy czyli do października 1982 roku. Winna jest lokalizacja. Już przy robotach ziemnych okazało się, że woda jest wyżej niż była w dokumentacji geologicznej. Odwodnienie nic nie dało. Trzeba było po dwa razy robić fundamenty. Wokół budynku głównego, socjalnego, tunelu odzuszania, części podstawy komina trzeba było bić ścianki szczelne z kształtek larsenowskich. Wszelkie głębokie wykopy kanalizacyjne też trzeba było uszczelniać. Stąd ten poślizg, który jest zresztą oficjalnie zaakceptowany.

Z. Grzyb: Miasto martwi się, co się dzieje w obrębie plotu, czyli tego co do nas należy. Do nich należy doprowadzenie zasilania wodnego i odprowadzenie ciepła i ścieków. Jak na razie nic się nie dzieje. Wątpię, żeby zdążyli w tym roku.

ZAMROŻONA CIEPŁOWNIA

E. Półgrabie: Tyle się mówi, że w tym roku musimy dać miastu ciepło, a jak do tej pory na budowie nie ma użytkownika. Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Energetyki Ciepłej bywa na naradach. Powoływane dyrekcji zakładów w budowie jest powszechną praktyką. Tak było w ZG „Sieroszowice”, w Orsku. Użytkownik powinien być obecny przy budowie, bo potem okazuje się, że trzeba robić zmiany, które można było ustalić w trakcie robót. Jak na razie z WPEC nikogo się tu nie widzi. Nie rozumiem tego. Krzyczą, że wolno robimy, że w tym roku powinien być rozruch, a jeszcze nie mają ludzi. W momencie rozruchu będą potrzebowali ze 200 osób załogi. Skąd oni nagle wezmą tyle ludzi?

— „Energomontaż” uważa, że nie przygotowaliście im frontu robót.

R. Śmiechowski: Mówią, że nie mają co robić? A budynek główny, a kotły? W styczniu zamiast przerobić 2,8 miliona, bo tyle im mniej więcej wychodzi na miesiąc, zrobili za 0,7 miliona. Kto tu powinien mieć pretensje?

— Kiedy w takim razie przewidujecie rozruch?

R. Śmiechowski: Na koniec lata 1982 roku. Czyli ciepłownia będzie działać na sezon grzewczy 82/83.

Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Energetyki Ciepłej w Legnicy. Rozmawiam z dyrektorem Bronisławem Kaczkowskim:

— Jesteście przygotowani do rozruchu ciepłowni w Lubinie w tym roku?

— To jest termin nierealny, nikt w niego nie wierzy. Jak jest z podłączeniem ciepłowni do sieci?

— O ile wiem, to Dyrekcja Rozbudowy Miast i Osiedli w Legnicy obiecała, że z chwilą rozruchu będzie podłączona. Mówiło się o 1982 roku.

— Wykonawcy mają żal, że użytkownika nie widać na budowie.

— Ta ciepłownia przerasta prawdę mówiąc nasze możliwości. Będziemy potrzebowali 200 ludzi — całą nową załogę od stróża do dyrektora. Co my możemy tym ludziom obiecać? Mieszkań nie mamy. Kto będzie chciał pracować w szarym polu i mieszkać w hotelu? Nie mamy przeszkolonych palaczy pieców wysokoprężnych. Wiem, że do końca III kwartału tego roku muszę

skończyć nabór pracowników. W tej chwili nie bardzo wiem, jak to zrobić.

— Co będzie z Lubinem przyszłej zimy?
— A co ma być? Ogrzejemy tym, co mamy.

— Już w tym roku nie wystarcza, a miasto ma ambitny program rozbudowy budownictwa towarzyszącego, przybędzie też 63 tys. m kw. mieszkań.

— Jak będzie węgiel, to nie będzie tragedii. Przy takich temperaturach jak w tym roku elektrociepłownia pracuje na połowę obrotów. Przybędzie kotłownia na osiedlu Staszica, to powinno wystarczyć.

— Ludzie już teraz marzną.

— Marzną, bo nie ma węgla. Sytuacja Lubina nie jest wyjątkowa. Chyba nie ma miasta w Polsce, które miałooby wystarczającą ilość ciepła. Nie ma więc tragedii. Dyrektor WPEC jeszcze raz uświadomił mi starą prawdę, że jeszcze tak nie było, żeby jakoś nie było.

Zimno jest, bo nie ma węgla. Na braku ciepłowni ucierpią nowe osiedla, bo Lubin ma tylko jedną przepompownię tuż przy elektrociepłowni. Jest to inwestycja niewielka, tylko że tak już u nas jest, że zaczyna się od inwestycji wielkich, które ciągną się latami stają się nagle ostatnimi deskami ratunku.

Skąd ten szum wokół budowy ciepłowni? Skąd ten katastroficzny ton?

Ma to służyć zatuszowaniu faktu, że miasto jest nieprzygotowane do jej podłączenia. Nie ma przecież jeszcze rurociągu łączącego ciepłownię z miastem, nie ma odprowadzenia ścieków, ani zasilania w wodę. Dodatkowym smaczkiem w całej sprawie jest to, że miasto nie ma wody! Już teraz brakuje około 2 tys. m sześć. na dobę, a sama ciepłownia weźmie prawie 1000 m sześć. Robi się więc krzyk wokół opieszałości budowlanych, ograniczając pomoc do fikcyjnej rady budowy.

Na dobrą sprawę wszyscy zainteresowani, że tak powiem, służbowo powinni się cieszyć, że nie ruszy w tym roku, bo okazałoby się, że przybył w naszym kraju jeszcze jeden pomnik. A ludzie przestali już tolerować takie „dowcipy”.

Posądzam też, że jest to sztuczny szum, żeby odsunąć od siebie odpowiedzialność, gdyby ktoś wpadł na to, że nic nie jest jeszcze do odbioru ciepłowni przygotowane.

JERZY JAGODZIŃSKI

OŚRODEK SZKOLENIOWY MIĘDYZAKŁADOWEGO UNIWERSYTETU ROBOTNICZEGO

OGŁASZA ZAPISY KANDYDATÓW NA KURSY KWALIFIKACYJNO-MISTRZOWSKIE

w zawodach:

- KIEROWCA — MECHANIK SAMOCHODOWY
- MECHANIK SILNIKÓW SPALINOWYCH
- ŚLUSARZ SAMOCHODOWY SILNIKÓW
- ŚLUSARZ SAMOCHODOWY KAROSERII

Zapisy przyjmuje do dnia 1 III 1981 r. od godz. 8.00 do 15.00 sekretariat Zespołu Szkół Samochodowych w Głogowie, ul. Piaskowa 2a, tel. 340-31.

102-k

OGŁOSZENIA DROBNE

ROZNE

WYPOŻYCZALNIA sukien ślubnych.
Cecylia Gaca, Lubin, ul. Kopernika 6.
83332-g

UWAGA! Mieszkańcy Legnicy, Lubina, Złotoryi, Polkowic, czyszczenie dywanów i wykładzin w domu klienta, telefon: 411-88 Lubin godz. 12—15, E. Burda.
83346-g

KWIACIARNIA w Lubinie, ul. M. Skłodowskiej 15a (naprzeciw dworca PKS) czynna od 8—18, w niedzielę od 10—16, tel.: 424-74. Poleca duży wybór kwiatów ciętych. Wykonuje: wieniec, kosze, wianki ślubne, pogrzebowe i okolicznościowe, oraz dostarcza kwiaty do domu klienta na terenie miasta. Lucja Woźniakiewicz.
83325-g

SKLEP MEBLOWY w Kunicach k/Legnicy poleca duży wybór mebli produkcji rzemieślniczej. Wiesław Szmuc, Kunice, ul. Gwarna 8.
83357-g

NIERUCHOMOŚCI

SPRZEDAM dom z zabudowaniami gospodarczymi w Jabłońcu woj. Zielona Góra. Wiadomość: Stanisław Kłoc, ul. Kosmonautów Polskich 9/4 Głogów.
83348-g

SPRZEDAM fermę drobiu w Bieniowicach 67. Wiadomość: Legnica ul. Podchorążych 21, tel.: 209-47 po 18.
83355-g

ZGUBY

ZGUBIONO przepustkę zakładową nr 1729/81 wydaną przez ZM „Legmet” w Legnicy, na nazwisko Grażyna Pierzchała zamieszkałą w Legnicy, ul. Horyzontalna 17/13.
83358-g

ZGUBIONO przepustkę nr 1813/80 wydaną przez ZM „Legmet” w Legnicy, na nazwisko Jan Puternicki zamieszkały w Legnicy, ul. Liebknechta 15/7.
83358-g

MOTORYZACYJNE

SPRZEDAM „Syrenę” R-20, rok 1976, Legnica, tel. 258-77.
202-p

SPRZEDAM samochód „Polonez” fabrycznie nowy. Wiadomość: Józef Galbas, Swierzawa, ul. Kościuszki 4.
83355-g

Drużyna piłkarzy ręcznych lubińskiego „Zagłębia” ostatnio sporo radości sprawiła swym sympatykom. Szturmem przedarła się przez liczne rozgrywki i awansowała do II ligi. Beniaminek nie przestraszył się rutynowanych przeciwników. Walczył z nimi jak równy z równym i na półmetku uplasował się na trzeciej pozycji. W rewanżach ma też szanse na utrzymanie tej wysokiej lokaty, choć przyjdzie mu rozegrać 10 spotkań na wyjeździe i 8 u siebie. „Zagłębie” podejmować będzie lidera — „Gwardię” Opole i wicelidera — „Polsanię” Poznań, ale także zamykających tabelę — „Polonię” Łaziska i „Nielbę” Wągrowi. Są więc realne szanse utrzymania wysokiego i nawet poprawienia miejsca w ligowej tabeli.

NIE PODKŁADAJMY KŁÓD

Przed rozpoczęciem rozgrywek trener zespołu Jan Grabowy wyrażał się o szansach drużyny asekurująco. Stwierdzał, że głównym jej zadaniem będzie utrzymanie się, a następnie zaaklimatyzowanie w II lidze, nabranie doświadczenia i niezbędnej rutyny. Po pierwszych, dobrych pojedynkach, optymizm kibiców wzrósł, a trener Grabowy nie zmieniał swojego zdania.

— Nie chcę — stwierdzał — nikomu za wiele obiecywać, II liga to nie klasa międzywojewódzka. Występują w niej silne zespoły i wygraną z każdym z nich musimy uważać za duży sukces. Najpierw musimy okrzepnąć, a dopiero później myśleć o ewentualnym awansie do krajowej czołówki. Pod tym właśnie kątem przygotowuję team do rundy rewanżowej, która rozpocznie się 14 i 15 marca. Na początek wyjeżdżamy do „Halemby” Ruda Śląska, a w tydzień później podejmujemy lidera — „Gwardię” Opole.

— O szansach awansu do ekstraklasy mówię zawsze jasno. Wyrażam opinię, że zespół, z którym pracuję stać na szybkie znalezienie się w czołówce kraju. Obecnie dysponuje 16-osobową kadrą wyrównanych zawodników, a wśród nich dwoma członkami kadry narodowej juniorów (Grzegorz Olszewski i Jerzy Smurzyński).

● Na tej szesnastce nie kończy się cała sekcja...

— Od dłuższego czasu prowadzimy systematyczną pracę z młodzieżą, a w całej sekcji skupiany 110 zawodników. Ci młodsi i najmłodsi mogą już teraz pochwalić się sporymi osiągnięciami. Juniorzy starsi udanie występują w lidze międzywojewódzkiej i praktycznie awansowali już do półfinałów mistrzostw Polski. Są wprowadzeni na trzecim miejscu w tabeli, ale w rewanżach podej-

mują dwie najlepsze drużyny półmetka — „Śląsk” Wrocław i „Nyse” Kłodzko. Do półfinałów awansują dwie drużyny i chyba musiałby się stać cud, aby w tym gronie nie znaleźli się nasi przedstawiciele. Dodatkowo mamy dwa punkty straty do prowadzącego „Zryw” Zielona Góra. W drugiej rundzie podejmujemy u siebie „Zryw” i drugą w tabeli wrocławską „Juwenię”. Nie powinno być większych problemów z zajęciem pierwszego miejsca.

— W podobny sposób można mówić o juniorach młodszych, czyli tak zwanym roczniku spartakiadowym (chłopcy urodzeni w 1964 roku i młodsi). W tej klasie rozgrywek mamy dwa punkty straty do prowadzącego „Zryw” Zielona Góra. W drugiej rundzie podejmujemy u siebie „Zryw” i drugą w tabeli wrocławską „Juwenię”. Nie powinno być większych problemów z zajęciem pierwszego miejsca.

Jest to wyłącznie moja opinia. Nie podzielam jej — mówię to zdecydowanie — władze Okręgowego Związku Piłki Ręcznej Wojewódzkiej Federacji Sportu w Legnicy. Dobrym tego przykładem może być fakt, że postanowiły one stworzyć — w przyszłych eliminacjach — zespół złożony z zawodników „Miedzi” Legnica i „Chrobrego” Głogów. Grupa ta przebywała nawet na specjalnym zgrupowaniu w złotoryjskiej szkole sportowej. Dziwi mnie tylko dlaczego? Nasi chłopcy nie zakończyli jeszcze rozgrywek mistrzowskich i przecież nikt nie potrafi — poza mną — przewidzieć, które zajmą miejsce. Czyżby ktoś nie dostrzegał aktualnej sytuacji? A może ktoś chce sprawy rozstrzygać przy tak zwanym „zielonym” stoliku. Jak dotychczas nikt też nie widzi osiągnięć młodzików. Mamy trzy równorzędne drużyny, których członkowie rekrutują się z lubińskich szkół podstawowych — 1, 9 i 10, a ich wychowawcami są Bogdan Woja-

kiewicz, Jan Krystek i Wiesław Jurecki. Szkoleniem młodzieży zajmują się ponadto Marek Broda i Zygmunt Woźniczka. W praktyce wszystko organizujemy sami, nie patrząc na władze wojewódzkie i o dziwo, mamy się czym pochwalić.

— Od kilku miesięcy toczy się dyskusja nad przyszłością polskiego sportu wyczynowego. Waszym zakładem opiekuńczym jest Zakład Robót Górniczych w Lubinie. Jak się układa współpraca z mecenasem?

— Załoga ZRG jest za nami. W przeciwnieństwie do innych potrafiliśmy się dogadać z „Solidarnością” i związkami branżowymi. Załoga nas poparła, zaproponowałaśmy wejście w skład zarządu sekcji dwóch przedstawicieli „Solidarności” i propozycja ta została zaakceptowana. W rezultacie na dawnych warunkach ZRG zatrudnia 14 zawodników, trenera i kierownika technicznego sekcji. Świadczy to chyba o dużym zaufaniu i wierze w nasze możliwości. Fakt ten zmobilizował nas wszystkich i tą drogą chcę zapewnić, że drużyna robi wszystko, aby nie zawieść pokładanych w niej nadziei.

Trener Jan Grabowy od wielu lat znany jest ze swej konsekwencji i zdecydowanego postępowania. Razem ze sztabem pomocników (szkoleniowców) wyraźnie postawił na młodzież. Wyniki są już widoczne. Po pewnych wzmocnieniach w lubińskiej piłę ręczną nie liczy się na dodatkowe posilki. Postawiono na młodzież i takie poczynania powinny przynieść określone skutki, przede wszystkim w postaci awansu do I ligi. Warto, aby w tych sprawach nabrali przekonania, ci którym powinno leżeć na sercu rozwijanie zagłębiowskiej piłki ręcznej.

ZYGMUNT ŁUSZCZ

Przez cztery dni Lubin był gospodarzem XXXV indywidualnych mistrzostw Dolnego Śląska w boksie. Rozgrywano je w kategorii młodzieżowej i seniorów, a na starcie stanęło 113 zawodników z dolnośląskich klubów. Wśród nich znalazło się liczne grono pięściarzy Zagłębia Lubin i Miedzi Legnica. Od 12 do 15 lutego z uwagą śledziliśmy ich poczynania w ringu. Interesowała nas przede wszystkim ich postawa i liczba zdobytych medali. Jak więc na tie innych rywali wypadli nasi przedstawiciele?

Trzeba generalnie stwierdzić, że dorobek medalowy był znacznie skromniejszy, niż na poprzednich — rozegranych również w Lubinie — mistrzostwach.

Zdobyliśmy w sumie 14 medali, w tym trzy złote, dwa srebrne i 9 brązowych — w kategorii seniorów. Złote medale zdobyli: Mieczysław Massier (na zdjęciu) i Andrzej Krzak z Zagłębia oraz Stanisław Marzec z Miedzi. Na drugich miejscach uplasowali się: Wacław Milczarek (Zagłębie) i Robert Grisa (Miedź), a na trzecich: Piotr Siwak (Zagłębie), Jacek Kurpeta (Miedź). Stanisław Mostkowski (Zagłębie), Stanisław Drozd (Zagłębie), Zdzisław Wawrzyniak (Zagłębie), Wiesław Witkiewicz (Miedź), Zbigniew Żurawski (Miedź) oraz Marek Węgierski i Kazimierz Folt z Zagłębia.

Po zakończeniu walk finałowych dawało się odczuć pewien niedosyt. Dotyczyło to przede wszystkim I-ligowego Zagłębia. Jak się okazało w zawodach nie mogło wystąpić aż sześciu zawodników pierwszego zespołu: Kowalczyk, Kocur, Paduchowicz, Suchecki, Niemkiewicz i Tylman. Wszyscy oni doznali kontuzji w inauguracyjnym meczu ligowym w Knurowie i obserwowali mistrzostwa w charakterze widzów. Gdyby mogli wystąpić w ringu sytuacja byłaby z pewnością zupełnie inna.

Rzeczą pocieszającą jest bardzo dobra postawa młodzieżowców, szczególnie tych z Miedzi. Leszek Sliż, Mirosław Kura i Andrzej Kustasz z Miedzi oraz Stanisław Repka z Zagłębia stanęli na najwyższym podium, a srebrny medal przypadł w udziale legniczanie Janowi Nowakowi. W tej konkurencji drużynowo najlepszą okazała się Miedź, co dobrze świadczy o systematycznej pracy szkoleniowej z młodzieżą w tym klubie.

Obserwatorzy jubileuszowego turnieju z

TRZY RAZY ZŁOTO

uznaniem wyrażali się o jego niezwykle sprawną organizację. Cały ciężar tych spraw przejął na siebie Ośrodek Sportu i Rekreacji, a dużej pomocy udzielał mu działacz sekcji bokserskiej Zagłębia. Duży wysiłek organizatorów nie poszedł na marne i uczestnicy mistrzostw zadowoleni wyjeżdżali z Lubina. Szkoda tylko, że poziomu



Fot. Henryk Kruk

organizacyjnego imprezy nie mogli ocenić przedstawiciele władz sportowych województwa. Walk finałowych nie oglądał nikt ani z Wydziału Kultury Fizycznej, Sportu

i Turystyki Urzędu Wojewódzkiego, ani też z Wojewódzkiej Federacji Sportu. Stąd duży żal sportowców i organizatorów, którzy bardzo liczyli na przybycie przedstawicieli z województwa, zwłaszcza że dobrze wiedzą iż niektórzy z nich mieszkają w Lubinie.

Jeżeli chodzi o poziom sportowy to nie był on tak wysoki jak organizacyjny. Na starcie zabrakło — o czym wyżej — wielu znanych zawodników, a ponadto — jak się to określało — zabrakło nowych twarzy. Mimo tego walki były interesujące, wiele z nich stało na dobrym poziomie i w sumie imprezę pod względem sportowym uznać można za udaną.

Lubińskie mistrzostwa zakończyły się miłym akcentem. Mistrzowie i wicemistrzowie Dolnego Śląska, działacze Okręgowego Związku Bokserskiego, przedstawiciele klubu i licznie zgromadzeni kibice bardzo serdecznie pożegnali Wiesława Niemkiewicza, który postanowił zakończyć karierę zawodniczą. Postać to doskonale znana w całym kraju. Dwukrotny mistrz Polski, ośmiokrotny reprezentant kraju, uczestnik mistrzostw Europy w Halle i Kolonii stoczył w sumie 168 walk, z których przegrał tylko 22 i dwie zremisował. Ostatnio stał na boku z licznymi kontuzjami i postanowił zrezygnować z ringu. Nie oznacza to, że rozstaje się z boksem. Wiesław Niemkiewicz zajmować się będzie szkoleniem młodszych kolegów. W nowej pracy życzymy mu uzyskiwania jak najlepszych rezultatów.

Z ROLNICTWEM JEST RÓŻNIE

(Dokończenie ze str. 6)

— Okres reorganizacji administracji od 1975 roku szczególnie niekorzystnie wpłynął w naszym województwie na ruch ziemi między sektorami. Były sprzeciwy, interpelacje, że polityka przekazywania ziemi najlepszym gospodarzom nie była stosowana. Uważano, że najlepsi to są przedstawiciele sektora uspołecznionego, co często spotykało się z uzasadnioną krytyką społeczną. A państwowe gospodarstwa nie były przecież w stanie zagospodarować tej ziemi. Brak nakładów inwestycyjnych, ludzi, sprzętu

spowodowały, że ogromna ilość gruntów nie rodziła tyle, ile powinna. Nie dostrzegano możliwości w sektorze prywatnym, który miał duże zasoby sił ludzkich i gwarantował prawidłowy rozwój gospodarstw.

● Czy z powodu takiej polityki możemy mówić o głodzie ziemi na legnickiej wsi? — Oczywiście! Są wsie, gdzie jest dużo chętnych do nabycia ziemi. Na przykład w mojej wsi — Nowej Wsi Złotoryjskiej, wielu rolników chętnie powiększyłoby swoje gospodarstwa i zwiększyło tym samym produkcję.

● Dziękuję za rozmowę.

JAN KWAKSZYC, lat 59, członek ZSL, rolnik indywidualny na 21-hektarowym gospodarstwie o profilu rolno-hodowlanym w Nowej Wsi Złotoryjskiej. W 1980 roku zebrał 58 q pszenicy z hektara i 360 q buraków (średnio w poprzednich latach ok. 450 q). Hoduje 22 sztuki bydła i 15 macior. Rocznie sprzedaje 300 sztuk warchlaków. W latach 1972—80 poseł na Sejm PRL. Od 1957 roku radny rad narodowych. Członek i przewodniczący Komitetu ZSL i wiceprezes Wojewódzkiego Komitetu ZSL w Legnicy.

Administracja nie słyszy

Po wielomiesięcznych, bezskutecznych zachodach w Spółdzielni Mieszkaniowej „Cuprum” w Polkowicach, prosimy uprzejmie o interwencję w kilku istotnych dla nas sprawach:

Klatki schodowe, w których mieszkamy, są przejściowymi i korzystają z nich lokatorzy całego budynku. Ponieważ zamontowane jesienią 1979 r., samozamykacze przestały działać po niespełna dwóch tygodniach, jesteśmy narażeni jako mieszkańcy parterów na znoszenie ciągłego trzaskania drzwiami.

Bezskutecznie zabiegamy też o właściwe oznakowanie (od września 1978) naszych klatek, ich oświetlenie przy wejściu oraz zabezpieczenie przed deszczem. Gdy pada, strumienie wody przedostają się przez oszkłone klatki i płyną po schodach. Administrację to nie wzrusza, podobnie jak nie możemy doprosić się od sześciu miesięcy wstawienia brakujących drzwi do piwnicy w klatce nr 15.

Liczymy, że prasowa interwencja przyspieszy usunięcie tych kłopotliwych dla nas usterek.

Podpisy 4 lokatorów
Polkowice, ul. Skalników 13 i 15

Zapisuj pan numer

16 stycznia br. na postoju bagażówek przy ul. Łokietka w Legnicy, zamówiłem bagażówkę nr 27 na kurs do Legnickiego Pola. Kierowca zamówienie przyjął i ruszyliśmy w drogę, mimo że licznik nie został włączony. W trakcie jazdy ul. Piaszowską kierowca oznajmił, że kurs będzie kosztował 400 zł. W odpowiedzi zauważyłem, że należność za kurs wykazuje licznik, który powinien zostać włączony. Kierowca oznajmił wówczas, że licznik jest nieprzystosowany do nowej taryfy. Na moją uwagę, że w tej sytuacji należność może być obliczona przy użyciu odpowiednich przebiegów, zareagował milczeniem. Po chwili zorientowałem się, że bagażówka zbliża się do postoju przy ul. Łokietka, z którego, nie tak dawno, wyruszyliśmy. Słowami, cytuję: „wyskakuj pan, zapisuj pan numer i wyskakuj”, kierowca mnie „pożegnał”. Stosując się do jego rady numer zapisałem.

Ograniczyłem się tylko do przedstawienia faktów. Natomiast komentarz, zaistniałej sytuacji pozostawiam zainteresowanym instytucjom. Pragnę jeszcze tylko dodać, że dojechałem w końcu tego dnia do Legnickiego Pola bagażówką nr 10, opłacając należność w kwocie 186 zł.

Lucjan Hempel
ul. Leńskiego 27/6
59-220 Legnica

Ta zmiana cieszy

Z przyjemnością donoszę, że dworzec PKS w Polkowicach zmienił oblicze. W odmalowanym wnętrzu panuje ład i porządek. Zamiast starych, połamanych krzeseł — eleganckie ławki. Działa c.o. Jedynym mankamentem nadal jest wc. Brak w drzwiach zamków i odpowiedniej klamki.

Ponadto czas najwyższy, by oświetlić tablicę rozkładu jazdy PKS, wiszącą na ścianie, i odświeżyć wyblakłe cyfry, zwłaszcza te czerwone — przyjeżdżających i odjeżdżających autobusów PKS w Polkowicach.

Jerzy Dziarmaga
59-320 Polkowice

Co z tym sklepem?

Na osiedlu „Kopernik” w Głogowie, aktualnie czynne są dwa sklepy ogólnospożywcze obsługujące 15 tys. mieszkańców. Sytuacja z zaopatrzeniem w podstawowe artykuły staje się szczególnie dramatyczna w piątki poprzedzające wolne soboty. Właściwie zamiast pracować należałoby cały dzień spędzić w kolejkach.

Jako mieszkańcy ulicy Kosmonautów Polskich, zapytujemy za pośrednictwem redakcji, kiedy ekipy budowlane i handlowcy uporają się ze sklepem usytuowanym w naszym rejonie.

Czy przełożeni ekspedientek — władze handlu — nie widzą, w jakich warunkach obecnie pracuje personel dwóch funkcjonujących sklepów?

Mieszkańcy osiedla „Kopernik”
w Głogowie
z ul. Kosmonautów Polskich



Rys. Sławomir Mrozek

Czy to inni klienci?

Za Waszym pośrednictwem chcemy dowiedzieć się od GS „Samopomoc Chłopska” w Legnicy, dlaczego mieszkankom Państwowego Domu Pomocy Społecznej w Legnickim Polu, obsługa miejscowych sklepów nie chce sprzedawać nie oprócz podstawowych artykułów jak: chleb, mleko i napoje chłodzące. Wiele pensjonariuszek PDPS-u pracuje, otrzymuje pieniądze, nie ma z nimi co zrobić. Panie z wyżej wymienionych sklepów wielokrotnie odmawiały im sprzedaży artykułów zaliczanych do „luksusowych”, a mianowicie: masła, kawy, cukierków, czekolady, kielbasy, twierdząc, że to zarządzenie ogórne.

Co prawda, mieszkanki PDPS-u otrzymują jedzenie trzy razy dziennie, ale czy samym chlebem człowiek żyje? Przecież to są ludzie, jak ludzie chcą być traktowani. Rok 1981 ogłoszony jest przez ONZ Rokiem Ludzi Niepełnosprawnych. Czy w ten właśnie sposób ktoś tu obchodzi ten rok?

Pracownice PDPS-u
(nazwiska do wiadomości redakcji)

Pozornie zwykła zmiana

Proszę, pomóżcie mi ustalić mój adres zamieszkania! Przez okres 23 lat, bo od roku 1958, mieszkam w Głogowie przy al. Wolności 42 w mieszkaniu nr 7 i tam byłem, i jestem zameldowany z całą swoją rodziną. W okresie tym przeprowadzano remonty i malowania klatki schodowej, a także i drzwi wejściowych do mieszkań, lecz nikt nigdy nie zmieniał nam (bo i po co?) raz ustalonej numeracji mieszkań. Aż tu nagle w dniu 6 lutego br., decyzją administracji domu (WZSR Legnica — Zakład Handlu w Głogowie), wszystkim lokatorom w liczbie 9 rodzin, zmieniono dotychczasowe numery na drzwiach wejściowych do mieszkań, nie zawiadamiając o tym nikogo. Tym sposobem dowiedziałem się, że nie mieszkam już w mieszkaniu nr 7 lecz 8, a mój sąsiad z przeciwka nie mieszka już także pod nr 6 lecz 10. Za to wszyscy lokatorzy dowiedzieli się, że piwnice zajmują pod nr 1.

Całkiem nieprzemysłane decyzje (czyżby w ramach odnowy i potrzeby doskonalenia gospodarki?), ale obawiam się, że nam lokatorom, przysporzy to dodatkowych i nieprzewidywanych kłopotów w postaci: konieczności przemeldowania się w urzędzie meldunkowym i dokonania odpowiednich zmian w dowodach osobistych; powiadomienia rodziny i wszystkich znajomych oraz urzędów o zmianie numeracji mieszkań. Utrudni to także pracę listonoszom, doręczającym korespondencję do zbiorczej skrzynki na listy, umieszczonej na klatce schodowej, do czasu przemalowania (przez kogo?), dotychczas obowiązującej numeracji na nową, tym bardziej że na skrzynce brak — jak wiadomo — nazwisk lokatorów.

Tyle oto kłopotu rodzi jedna mała, do końca nie przemyślana, decyzja. Czy w tej sytuacji nie lepiej powrócić do starej numeracji i nie utrudniać życia lokatorom — a można tego dokonać jednym pociągnięciem małego, tego samego pędzelka, który zburzył nasz spokój?

Do tej pory sądziłem, że numeracja w domach służy do oznakowania ilości znajdujących się w nim mieszkań i lokali użytkowych, a raptem dowiedziałem się, że jest to także swoisty rodzaj rezerwuatu drzewi znajdujących się na klatce schodowej, podobnie jak w biurach. Czy aby nie trąci to trochę biurokracją?

Przy okazji chciałoby się również nadmienić, że dawno już nieczytelny numer domu, prosi się także o odnowienie i umieszczenie w miejscu widocznym...

M.G.
(nazwisko do wiadomości redakcji)

W związku z ukazaniem się w numerze (6) „Konkretów” z dnia 6 lutego 1981 r., reportażu pt. „Z wizją przez rogatki” zamieszczonej w rubryce „Życie i obyczaje”, czuję się w obowiązku wyjaśnić Czytelnikom, iż fakt opisany w rzeczywistości miał miejsce, ale nieco w innym świetle niż autor wspomnianego reportażu chciałby dane zdarzenie przedstawić. Czynie to jako urzędnik państwowej administracji — sekretarz urzędu miasta i gminy, i jako zwykły czytelnik Waszego i zarazem Naszego pisma.

Ja również byłem przekonany, że czasy „udzielnych władców i książąt” już minęły. I jeśli tacy byli w Scinawie, to na pewno już ich nie ma. Okazuje się jednak, że nie minęły czasy fotoreporterów w stylu zachowania... „kuriera carskiego”, który wpadał do miasteczka na spienionym koniu, wodził groźnie oczyma swymi wokół i na widok, którego każdy bladł ze strachu i padał na kolana prosząc o przebaczenie (tak na wszelki wypadek) za czyn, którego nie popełnił. Że jeszcze tacy są, przekonałem się pod koniec stycznia sam na własnej skórze.

REPLIKA

W terminie, podanym przez autora reportażu, wszedł do sekretariatu naczelnika miasta młody człowiek (tym razem bez okularów), prosząc o podbicie delegacji. Z niecierpliwego zachowania się owego pana wywnioskowałem, stojąc obok, że bardzo, ale to bardzo mu się śpieszy, skoro zapomniał nawet się przedstawić i poinformować kogo sobą reprezentuje. Z kim mam przyjemność — przekonałem się studiując przedłożoną delegację. Jednak nie zaspokoilo to mojej ciekawości i zacząłem nieśmiało nalegać na przybyciego, aby mi zechciał zdradzić cel swojej wizyty w Urzędzie Miasta i Gminy Scinawa (a nie w mieście). Dowiedziawszy się wówczas, że pan przyjechał „zrobić kilka zdjęć”. Wyjaśnienie takie nic mi nie wyjaśniło. Więc dalej indagowałem pana, aby mi troszeczkę bliżej wyjaśnił, o co tu chodzi. Czyżby w urzędzie byli terroryści (to ostatnio ponoć modny temat), czy może pan fotoreporter odkrył jakąś przebiegającą incognito gwiazdę piosenki, czy też ważną osobistość? Pan jednak nie dał się prosić, wyrwał mi delegację z ręki i ze złym błyskiem w oku oświadczył, że „jak nie to nie”, po czym wybiegł z sekretariatu. Gdy dotarł piętro wyżej, do sekretariatu Komitetu Miejsko-Gminnego partii, zdobył się już z własnej woli na słowa powitania, przedstawiając się i wyjaśniając z czym był w mieście, i o co mu idzie. Ba! zdobył się nawet na wzajemną wymianę uprzejmości z panią inspektorem d/s rady narodowej (a nie sekretarką), o czym zapomniał niestety w sekretariacie urzędu.

No cóż, nikt od pana fotoreportera nie zgaat uprzejmości w tym wypadku, ale właściwego wyjaśnienia podbicia delegacji pieczęcią instytucji państwowej. Jeżeli już natomiast wspomniany pan uważa, że wyjaśnienie — po co przyjechał — nie jest ważne, a ważne jest dla niego tylko przystawienie pieczęćki na jego delegacji, to dla mnie, jako pracownika administracji państwowej jest ważne komu pieczęćkę urzędową przybijam i w związku z czym, z jaką czynnością. Bo jeżeli mam już coś poświadczyć to muszę wiedzieć co! A jeśli nie będę wiedział o co tu chodzi, to nie będę poświadczał niczego, ani własnym podpisem ani pieczęcią instytucji, którą reprezentuję. Jest to chyba jasne dla pana fotoreportera?

Po przeczytaniu wspomnianego reportażu już wiem w jakiej to sekretnej misji przyjechał pan fotoreporter aż do Scinawy. Przyjechał taki kawał drogi po to, aby zrobić zdjęcie śmiesznej budki, spełniającej rolę punktu skupu królików. Po co? Zapewne po to, aby zrobić śmieszny fotoreportaż. Ale pan fotoreporter miał w tym dniu znacznie więcej szczęścia i „złapał” znacznie lepszy temat niż przewidywał. Trafila mu się niesamowita gratka: znalazł „udzielnych władców i książąt”. I zgodnie z duchem swoich przez siebie pojętej odnowy, postanowił na łamach swego pisma dać nauczkę tym, którzy śmiać oczekiwali od przybyłego wyjaśnienia: kim ktoś jest i po co przyjechał.

A w związku z radami pana fotoreportera dla mnie, ośmielam się mu również poradzić, aby jednak przybysząc gdziekolwiek ze sprawą (w tym wypadku pan miał jedną — podbicie delegacji), sam, z własnej woli raczył się przedstawić, dorzucając jednocześnie kilka słów wyjaśnienia, co go sprowadza, tak jak to robią jego nieco starsi koledzy po piórze z „Gazety Robotniczej” czy „Słowa Polskiego”, parający się dziennikarką troszeczkę dłużej od pana, bo od co najmniej ćwierćwiecza i uważający, że zachowanie takie jakie ja radzę panu, jest czymś normalnym, i jak najbardziej na miejscu w stosunkach międzyludzkich. I przybysząc następnym razem do Scinawy czy gdziekolwiek, niech pan schowa głęboko do swojej torby fotoreportera wysoko uniesiony sztandar pańskiej suwerenności, niezawisłości, niezależności i samorządności, a w zamian za to, niech pan wyjmie z niej, jeśli tam jeszcze są (?), ogólne zasady współżycia społecznego, a w szczególności zasady dobrej woli i wzajemnego poszanowania w kontaktach międzyludzkich. Wówczas to, nie będzie konfliktów między zadufanym w swoje „ja” i swoje możliwości oczerniania kogós, panem fotoreporterem, a wykonującym rzetelnie swe obowiązki urzędnikiem państwowej administracji.

BOGUSŁAW MADRZAK

P.S. Do Redakcji: Mam nadzieję, że Redakcja przedrukuje moją odpowiedź w najbliższym wydaniu pisma, w dostownym brzmieniu, bez żadnych korekt czy cięć. Mam również nadzieję, że odpowiedź moja ukaże się w tej samej rubryce co reportaż mego adwersarza, a także, że w przypadku repliki pana fotoreportera i ja będę mógł jeszcze raz ustosunkować się do niej na łamach Waszego pisma. Na koniec przepraszam za styl mojej odpowiedzi, ale (niestety), musiałem się dostosować do napastliwego tonu wiadomego reportażu, nad którym to stylem bardzo boleję.

BOGUSŁAW MADRZAK

PIATEK

- 16.15 Dziennik.
- 16.30 Piątek z Pankracym — podsumowanie konkursu na rysunek „Dom, w którym mieszkam”.
- 16.55 Dzień dobry w kręgu rodziny.
- 17.20 „Romeo z autobusu” — odc. 7 serialu TV CSRS „Pod jednym dachem”.
- 18.50 Dobranoc.
- 19.00 Telewizja młodych przedstawia.
- 19.30 Dziennik telewizyjny.
- 20.30 Jerzy Milian zaprasza: Z przebojem przez lata — program rozrywkowy.
- 21.00 „Wykrzyknik” — widowisko satyryczne.
- 21.20 Listy o gospodarce.
- 22.00 Dziennik.
- 22.50 Kaprysy studia Gama.
- PROGRAM II**
- 16.35 Taaaka ryba.
- 17.05 Kino Obieżyświat.
- 17.35 Klub Jazzowy Studia Gama.
- 18.15 Kino miniatur.
- 19.00 Program lokalny.
- 19.30 Dziennik telewizyjny.
- 20.10 „Zmierzch nad Dunajem” — odc. 3 (ostatni) filmu obyczajowego TV NRD.
- 21.25 24 godziny.
- 21.35 I liga hokeja na lodzie: Ty-chy — Zagłębie.
- 22.15 Mówić — nie mówić.

SOBOTA

- 9.00 Armia pokoju i wolności — wojskowy film dokumentalny.
- 10.05 Człowiek, ziemia, kosmos.
- 10.35 Trochę muzyki cygańskiej — 11.00 „Mira” — film dokumentalny.
- 11.55 Dziennik.
- 12.10 STUDIO 2 — całodzienny blok, w którym zobaczymy m. in. część pierwszą nowego programu Ewy Piątkowskiej „Raport w sprawie alkoholizmu”, „Wielka gra”, „Muppet show”, „Zadanie śmierci” — film dokumentalny, kolejny 6 odcinek serialu TP „Dom”, w kinie nocnym — film prod. amerykańskiej.
- PROGRAM II**
- 12.10 Studio 2 — całodzienny blok programowy, a w nim m. in. Poradnik dobrych obyczajów — o go-dności, program rozrywkowy „Gwiazdy na lodzie”, Przeboje mistrzów — kolejny odcinek programu Janusza Cegieli, blok sportowy oraz filmy z serii: „Perypetie wynalazcy” — prod. TV ZSRR, „Radość i troski Dominiki” — prod. TV francuskiej.

NIEDZIELA

- 8.55 Program dnia.
- 9.00 Teleranek.
- 10.20 Antena.
- 10.50 Główny świat: „Wielka moka” — film dokum. prod. angielskiej.
- 11.30 Koncert Wielkiej Ork. Symf. PRITV.
- 12.15 Dziennik.
- 12.35 Jaka będzieś wiejska szkoła — program publicystyczny.
- 13.05 Tylko w niedzielę — zapowiedź programu oraz wiersz dla Ciebie
- 13.10 „Przygody Sindbada” — japoński film dla dzieci.
- 13.35 „Krach z piosenkami”.
- 14.20 Kicz, czyli amatorstwo i profesjonalizm w sztuce.
- 14.35 Szlaki kultury polskiej.
- 15.00 Losowanie Dużego Lotka.
- 15.15 Umarł taniec... niech żyje taniec — reportaż ze szkoły tańca.
- 15.30 „Zadanie bojowe” — film
- 17.00 Tańcy Elżbiety Jaroń — film Grzegorza Lasoty.
- 17.20 Komu się oplaca?
- 17.40 — Kto powie „a” — program rozrywkowy TV hiszpańskiej.
- 18.20 Pytania na dziś.
- 18.40 Chopinowskie walece.
- 19.05 Wieczorynka.
- 19.30 Dziennik telewizyjny.
- 20.10 Wiersz dla Ciebie.
- 20.15 „Anna Karenina” — 5 odc.
- 21.20 Sportowa niedziela.
- 22.05 Godzina z STS.
- 23.05 „Korowód” — program po-etycko-muzyczny.
- PROGRAM II**
- 9.50 „Marszałek dwóch narodów”
- 10.20 „Nosić swoją skórę” — odc. 6 serialu TP „Dom”.
- 12.00 Przeboje tygodnia.
- 13.00 Teatr Telewizji: „Borys Godunow”.
- 14.15 Tuzin — teleturniej.
- 15.05 Sportowa niedziela.
- 16.30 Szanujmy wspomnienia.
- 18.15 „Jak to w rodzinie” — ko-media prod. radz.
- 19.30 Dziennik telewizyjny.
- 20.10 Bing Crosby — życie i legenda.
- 21.15 Kino bez granic: „Młodsza synowa” — film obyczajowy prod. tureckiej

PONIEDZIAŁEK

- 16.15 Dziennik
- 16.30 Dla dzieci: Zwierzyniec.
- 16.55 Klinika Zdrowego Człowieka.
- 17.15 Czwórka sejmowa i pies — 18.10 Monitor Sejmowy — 18.40 Rolnicze rozmowy.
- 18.50 Dobranoc.
- 19.00 Echo stadionów.
- 19.30 Dziennik telewizyjny.
- 20.10 Teatr Telewizji: Edmond Ro-stand „Cyrano de Bergerac”.
- 22.05 Horyzont — program publi-cystyczny.
- 22.35 Dziennik.
- 22.50 Piosenki ze sceny
- PROGRAM II**
- 10.55 Studio BIS.

- 16.05 Język niemiecki kurs pod-stawowy lekcja 19.
- 16.30 Język angielski dla zaaw-sowanych.
- 17.00 Studio Bis.
- 19.00 Program lokalny.
- 19.30 Dziennik telewizyjny.
- 20.10 Studio Bis cd.
- 22.30 „Różaniec z granatów” — nowela fabularna TP.

WTOREK

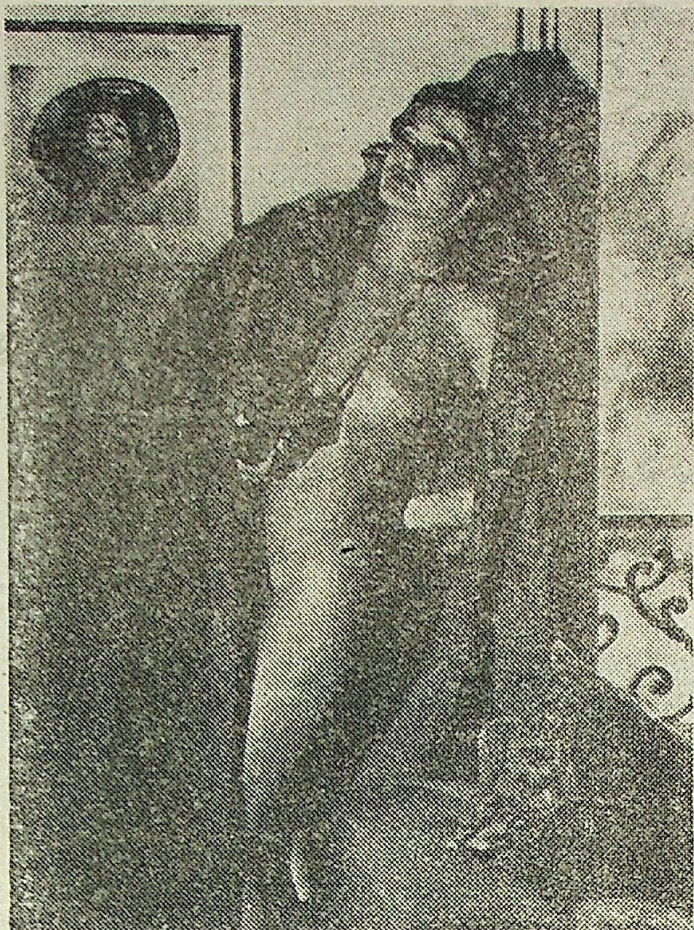
- 14.35 Telewizja w sprawie milia-dów.
- 16.15 Dziennik.
- 16.30 Telewizyjny Klub Seniora.
- 17.55 Polska Kronika Filmowa.
- 17.05 Gielda.
- 17.25 Interstudio.
- 17.50 „Struś Pędziwiatr przedsta-wia” — film animowany.
- 18.10 Telewizja Młodych Przedsta-wia cdn.
- 18.50 Dobranoc.
- 19.00 Lekarz radzi — choroby oczu.
- 19.10 Pro memoria — film dokum.
- 19.30 Dziennik telewizyjny.
- 20.10 FilMOTEKA arcydzieł: „Dzień-więć dni jednego roku” — rad-dramat obyczajowy.
- 22.05 Forum ekonomistów — 22.45 Dziennik.
- 23.00 Osobowy 19.80 — program sa-tyryczny.
- 23.25 Telewizja w sprawie milia-dów.
- PROGRAM II**
- 10.05 Szkielko i oko.
- 11.05 Pro memoria.
- 11.20 Wtorek melomana.
- 16.15 Program dnia.
- 16.20 Dla dzieci: Sekrety kina.
- 17.00 Dla młodych widzów: Cał-naprzód.
- 17.30 Szacunek dla chleba.
- 18.00 Szkielko i oko — magazyn.
- 19.00 Program lokalny.
- 19.30 Dziennik telewizyjny.
- 20.10 Wtorek melomana.
- 21.10 24 godziny.
- 21.20 Bez recept — „Ojciec”
- 22.00 FilMOTEKA Narodowa — Kto-obraz po bitwie.

ŚRODA

- 14.30 U źródeł mlecznej rzeki — program oświatowy.
- 15.00 Telewizja w sprawie milia-dów.
- 15.20 NURT — Matematyka.
- 15.50 Program dnia.
- 15.55 Obiektyw.
- 16.15 Dziennik.
- 16.30 Dla dzieci: „Michałki”.
- 16.55 „Dzień dobry, w kręgu dziny”.
- 17.20 Losowanie Express Lotka Małego Lotka.
- 17.30 Dom i my.
- 17.50 Turystyka i wypoczynek.
- 18.15 Krok po kroku — program publicystyczny.
- 18.50 Dobranoc.
- 19.00 Camerata — magazyn muzyczny.
- 19.30 Dziennik telewizyjny.
- 20.10 Film TV na Świecie: „Zbuntowany księżyc” — TV angielski dramat psychologiczny.
- 22.05 Dziennik.
- 22.20 Proscenium — magazyn teatralny.
- 23.05 Telewizja w sprawie milia-dów.
- PROGRAM II**
- 10.05 Sprawy Młodych — „Chcę domu” film NRD.
- 11.05 Antykwarjat — O modzie modnisiach.
- 11.45 Dom i my.
- 15.55 Język angielski dla zaaw-sowanych, lekcja 12.
- 16.25 Język angielski kurs pod-stawowy, lekcja 19.
- 17.00 Program morski.
- 17.30 Sprawy Młodych — „Chcę domu” — film prod. NRD.
- 19.00 Program lokalny.
- 19.30 Dziennik telewizyjny.
- 20.10 Antykwarjat.
- 20.40 Ocalić od zapomnienia szlakiem laureatów.
- 21.10 24 godziny.
- 22.00 Wieczór filmowy.

CZWARTEK

- 14.30 Telewizja w sprawie milia-dów.
- 15.20 Dla młodych widzów: „Ty-niej zastępowych”.
- 16.15 Dziennik.
- 16.30 Czwartek telewizyjny dla dzieci i chłopców — „Mój świat”.
- 17.30 Magazyn motoryzacyjny.
- 17.55 TV młodych przedstawia Teleks — Wyścig zbrojeń na Świecie.
- 18.20 Magazyn lotniczy.
- 18.50 Dobranoc.
- 19.00 Sonda — Raport 6.
- 19.30 Dziennik.
- 20.10 „Sierżant Anderson” — „Wybuch” amerykański film kry-minalny.
- 21.00 Pegaz.
- 21.50 Dziennik.
- 22.05 Dwie strony medalu.
- 22.45 Telewizja w sprawie milia-dów.
- PROGRAM II**
- 10.00 Sonda — Raport.
- 10.35 Dwie strony medalu.
- 11.15 Piotr Czajkowski — Serenada na orkiestrę smyczkową.
- 11.50 W pogodnym nastroju.
- 17.10 Zima — Impresja filmowa.
- 17.20 W pogodnym nastroju.
- 17.50 P. Czajkowski — Serenada na orkiestrę smyczkową.
- 18.15 Słownik sztuki współczesnej.
- 19.00 Program lokalny.
- 19.30 Dziennik.
- 20.10 NURT.
- 21.10 24 godziny.
- 21.20 Teatr TV — M. Choromański „Largactil”.
- TVP zastrzega sobie możliwość zmian w programie.



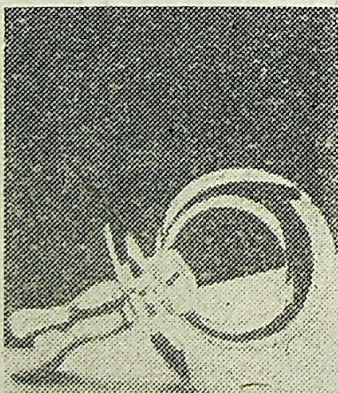
Z cyklu: „Bajki dla dorosłych” — „W tajemniczej komnacie”.

ORBITY GWIAZD

● ROBERT REDFORD zadebiutował w ubiegłym roku w roli reżysera. Jego „Zwykli ludzie” okazali się najlepszym amerykańskim filmem w opinii nowojorskiej krytyki. Z tej samej oceny wynika, iż najlepszy film zagraniczny to „Mój wuj z Ameryki” Alaina Resnais (Francja). Najlepsi aktorami są Robert de Niro i Sissy Spacek.

● BARBRA STREISAND zyskała ostatnio miano najbardziej nieznośnej i despotycznej gwiazdy amerykańskiego kina. Symptomy pojawiły

się już na planie „Narodziny gwiazdy”, kiedy to zmieniono reżysera trzykrotnie. W kolejnych obrazach „Główne wydarzenia” i „Cala noc”, Streisand pokazała swoje humorki w pełnym wydaniu. W efekcie tych waśni na planie aktorka postanowiła sama reżyserować. Jej debiutem będzie adaptacja opowiadania laureata Nagrody Nobla, Issaca Bashevisa Singera „Yentl”. Rolę główną gra oczywiście sama Barbra. Muzykę napisał Michel Legrand. Film nakręcony będzie w Czechosłowacji.



A TO CI SMOCZEK

Srebro cieszy się uznaniem snobów na Zachodzie. Paryska firma Bulgari proponuje swym klientom taki oto smoczek. Jego cena — trochę zawyżona — pozwoliła jednak firmie zrobić niezły kapitał. Na Gwiazdkę i Nowy Rok smoczki sprzedano ponad tysiącu klientom. Wprawdzie pożytek z nich żaden, ale snobizm ma swoje prawa.

POCZTOWE ROZWODY

Stany Zjednoczone są krajem nieograniczonych możliwości. W Kalifornii na przykład, od ubiegłego roku można się rozwieść za pośrednictwem poczty. Warunki: małżeństwo musi trwać co najmniej dwa lata, musi być bezdzietne i samo musi się dogadać co do podziału majątku. Potem wystarczy tylko postać pięćdziesiąt dolarów i prośbę o rozwiązanie małżeństwa. Najpóźniej za sześć tygodni przychodzi zgoda i małżeńską karuzelę można rozpocząć od nowa.

IGRANIE Z ZAUFANIEM

Dyrektor więzienia w Halmstad (Szwecja), zatrudnia więźniów przy wyrobie sznurowych drabin. W ciągu miesiąca wykonują one około trzech tysięcy takich wyrobów. — Więźniowie przyrzekli mi, że nie wykorzystają drabin do ucieczki — oświadczył dyrektor dziennikarzowi tygodnika „Se”. To jest dowód na panujący wśród Szwedów zwyczaj obdarzania się zaufaniem. No cóż, co kraj to obyczaj...



POWRÓT GINY

Najmłodsze pokolenie kinomanów zna Ginę Lollobrigidę już tylko jako legendę włoskiego kina. No bo też Gina bardzo wcześniej wycofała się z ekranu. Wzięła do ręki aparat fotograficzny i... przemierzyła z nim niemal wszystkie kontynenty; wydała kilka albumów swojego autorstwa (miasta i ludzie, zwłaszcza ci wszem znani!), zorganizowała kilkadziesiąt wystaw fotografii artystycznej. Teraz — 53-letnia już (tak, tak łatka

leca!), gwiazda postanowiła wrócić na plan filmowy. Szansę daje jej reżyser Sergio Leone, powierzając Ginie główną rolę w obrazie „Pewnego razu w Ameryce”. Włoski świat filmowy skwitował tę nowinę sceptycznie, nie dając Lollobrigidzie szans na sukces. Poczekamy, zobaczymy. A na razie prezentujemy eksdywę w roli mamy 23-letniego już syna Milko, w towarzystwie którego spędziła ostatnie święta.

W CHIŃSKIEJ RESTAURACJI

— Poproszę o to ostatnie danie na karcie...

— Pan wybaczy, ale to jest dyrektor zakładu!

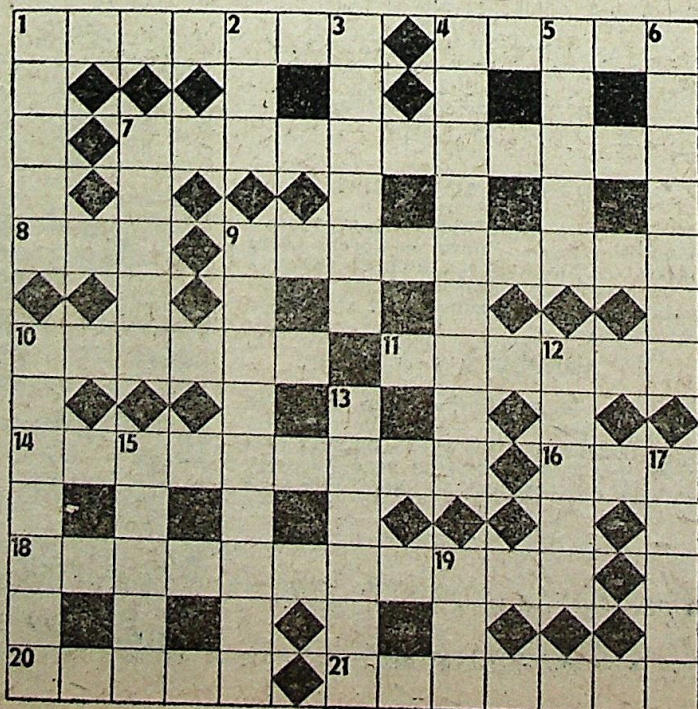


Wprawdzie mamy na Starym Kontynencie pełnię zimy, ale salony mody pełną parą projektują i lansują modę letnią. Otrzymaliśmy zdjęcie z

CO NA LATO?

Londynu. Jeden z tutejszych dyktatorów mody jest zdania, że w tegorocznym sezonie plażowym panie będą odziane

dość skąpo. — Trzeba dać ciału jak największą powierzchnię oddechu — stwierdził, gdy dziennikarze zapytali o motyw wiodącej kolekcji...



KRZYŻÓWKA

POZIOMO: 1 — wyrabia buble, 4 — imię autora „Guerniki”, 7 — championat, 8 — coś z szachów, 9 — czynność na roli, 10 — także rada, 11 — jugosłowiański faszysta, 14 — kiedyś grała na podwórkach, 16 — zdjęcie golaski, 18 — słynny aktor i reżyser (1871—1958), były dyrektor Teatru Kameralnego w Warszawie, 20 — przykranie, 21 — przysposobienie.

PIONOWO: 1 — ...i wszystko jasne!, 2 — dźwięk a wyżej, 3 — wydanie kogoś, 4 — postępowanie, 5 — miasto w Słupskiem, 6 — kostium plażowy, 7 — silnik, 9 — prezent, 10 — aplauz, — 12 — Indianin, 13 — państwo europejskie, 15 — w sklepie, 17 — naczynie na wodę, 19 — imię.

ROZWIĄZANIE krzyżówki z numeru 6. **POZIOMO:** antonim, lokum, halucynacja, Kon, kartogram, perora, afryka, onkologia, alt, rejonizacja, Ku, kła, telefon. **PIONOWO:** aszyk, NOL, mocarz, landolfia, kocur, miazmat, honor, „Karolinka”, Piotrek, otawa, zgrzyt, Kojak, teren, cel.

NAGRODY KSIĄŻKOWE wylosowali: Olga Klimasz, ul. Kasjopei 7/3, 59-220 Legnica, Elżbieta Majewska, ul. Merkurego 10/7, 59-220 Legnica; Mirosława Jaworska, ul. Parkowa 1/15, 59-700 Bolesławiec.

TERMIN nadsyłania rozwiązań krzyżówki z numeru 8 mija 28 lutego br.